Numer 21. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 26 Maja 1929



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

L.: 3505/29.

Wieliczka dnia 13 maja 1929.

OGŁOSZENIE.

Magistrat miasta Wieliczki podaje do wiadomości, że z dniem 3 czerwca b.r. zaprowadza targi na konie w Wieliczce w każdy drugi poniedziałek jako w dniu odbywającego się tu jarmarku.

Konie doprowadzone na targi będą wolne od opłaty targowej.

Magistrat Wieliczka.
Burmistrz:
Aywas.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Dwaj przyjaciele stoją obok siebie w tłoku, czekając na pochód uroczysty. Nagle spostrzega jeden z nich, że chustka wystaje drugiemu z kieszeni. Przez żart wyciąga ją i chowa.

Nagle ktoś dotyka jego ramienia i szepcze:

— Masz tu z powrotem swój zegarek. Nie wiedziałem, że jesteś kolegą.



Zrozumiały powód.

— Powiedzcie mi tutaj, dlaczego psy zawzięcie szczekają w nocy.

— Nie wiecie jeszcze? Dlatego, że tu ludzie obszczekują się po całych dniach, więc noce pozostawione są dla psów.



Skruszony synek.

Matka, chcąc, aby synek po ukaraniu sam przyznał się do winy, pyta:

— Powiedz, za co dostałeś baty?

Synek (z oburzeniem): Widzi mama, jaka mama niesprawiedliwa. Dała mi baty, a nie wie za co.

Wierny małżonek.

Żona: „Cobyś zrobił, gdybym nagle zmarła?"

Mąż: „Ja... chybabym zwarjował..."

— Czy ożeniłbyś się powtórnie?

— Nie, tak daleko obłęd mój chybaby mnie nie zaprowadził.



Siła przyzwyczajenia.

Sąd skazał pokojówkę za kradzież na trzy miesiące więzienia. Po ogłoszeniu wyroku pokojówka zwraca się do sędziego: „A czy będę miała wychodne?"



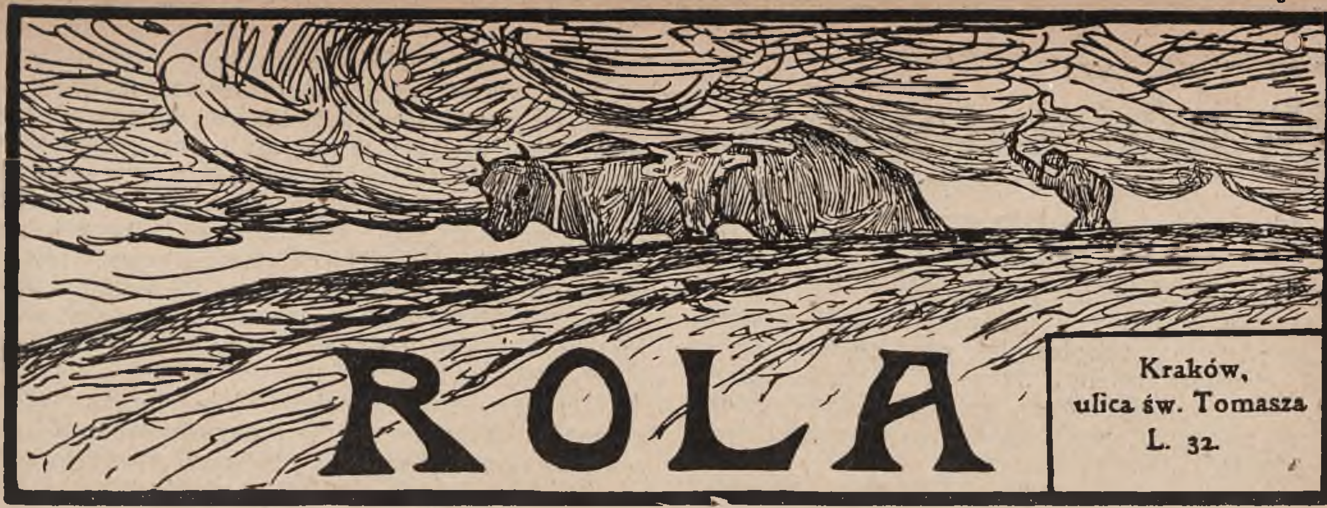
Jak się dochodzi do fortuny.

— Przed wielu laty przybyłem tu ze złotówką w kieszeni i ta złotówka przyniosła mi szczęście.

— Musiałem się dobrze napracować, by zbić majątek.

— Bynajmniej. Za tę złotówkę zadepeszowałem do rodziny po pieniądze.

Numer 21. Rok XII. Kraków, dnia 26 Maja 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Kobieta w społeczeństwie.

Temat ten do niedawna byłby nieaktualny. Jeszcze bowiem przed kilkunastu laty, rola kobiety na szerokiej arenie społecznej równała się niemal że zeru. Jednakże zupełnie inaczej przedstawia się sprawa dziś, w dobie emancypacji, dobie równouprawnienia, nietylko wszystkich warstw społecznych, ale także płci obojga.

Tak dawniej pogardzana przez „płeć silną" „płeć słaba", pokazała światu, że nie zasługuje bynajmniej na to pogardliwe określenie i... zademonstrowała tężyznę swą tak fizyczną jak i umysłową... czynem. I już dzisiaj okazało się, że kobieta w każdej niemal dziedzinie, czy to pracy zawodowej, czy też sportu, potrafi współzawodniczyć i to współzawodniczyć skutecznie z płcią silną, z mężczyzną. I tak niema już prawie żadnego zawodu, któryby nie miał przedstawicieli swych u „płci słabej" począwszy od profesorek uniwersytetów, uczonych (p. Curie-Skłodowska), lekarek, sędzin, adwokatek i posłanek, poprzez urzędniczki wszelkiego rodzaju, do robotnic we fabrykach i różnych warsztatach pracy, a nawet policjantek i wojskowych. Jednakże nie na tem koniec, albowiem nawet we wszelkich dziedzinach sportu, nie pozostały kobiety w tyle. I tak, opanowały one a nawet przodują w tenisie (Zuzanna Langlen), dalej szermierkę, pływanie, biegi, rzucanie ciężarami, dzidami, dyskiem (Konopacka), oraz zapasy atletyczne. Nawet awiatyka, która wymaga wielkiego wysiłku nerwów, odwagi i zimnej krwi, znalazła swych zwolenników w dzielnych szeregach kobiet. Naturalnie, że i sztukami pięknemi, kobiety nie gardzą. I tak zajmują się malarstwem, rzeźbiarstwem, muzyką, nie mówiąc już o literatkach, artystkach, sanitarjuszkach i t. d. i t. d.

Widzimy więc, że wobec takiego stanu rzeczy niepodobna, roztrząsając jakąkolwiek kwestję społeczną, nie brać w rachubę roli współczesnej kobiety. Stwierdziliśmy więc fakt, że kobieta zajmuje pewne, mniej lub więcej poważne stanowisko w każdem kulturalnem społeczeństwie.

A teraz pytanie: czy ten nagły a gremjalny prąd społeczny kobiet, dążących do usamodzielnienia, uzyskania niezależności materjalnej i wogóle uprawnienia wobec mężczyzn, otóż czy ten prąd, któremu na imię emancypacja, jest korzystny, czy też nie, czyli, czy kobieta powinna tylko jak dotychczas zajmować się pracą domową, czy też pracować podobnie jak mąż, zawodowo? Odpowiedź na to pytanie jest jedna a brzmi ona: Kobieta, jeżeli chce być przez męża traktowana z szacunkiem, jako istota jemu równa i niezależna, powinna się bezwarunkowo oddać pracy zawodowej.

Napozór mogłoby się zdawać, że emancypacja jest wytworem egoizmu kobiety. Jednakże w rzeczywistości jest ona tylko samoobroną, jest nawet pomocą dla męża, albowiem żona pracująca zawodowo, zdejmuje niejako połowę brzemienia z barek męża, przyczem we wspólnej walce o byt, zbliża się doń, wspólne mają troski i wspólne uciechy. Emancypacja nie jest bynajmniej, żadnym zamachem na prawa mężczyzn, lecz tylko szlachetnem współzawodnictwem i pomocą. Emancypacja wpływa zupełnie na ukształtowanie się życia rodzin i całych społeczeństw. Jest więc ona punktem zwrotnym w historji świata, jest zwycięstwem nowoczesnego światopoglądu nad zaśniedziałym sentymentalizmem średniowiecznym, emancypacja stwarza typ kobiety fizycznie i moralnie zdrowej, odpornej na wszelkie niepowodzenia życiowe, typ kobiety społecznie uświadomionej, mogącej zabrać głos w sprawach państwowych jak naukowych i wogóle wszelkich innych. Jednem słowem emancypacja, stwarza z kobiety stu procentowego obywatela, biorącego czynny i żywy udział w życiu narodu, dzieląc wraz z nim, jego dolę i niedolę. A że kobieta naprawdę może się zdobyć na taki sam wysiłek tak fizyczny jak i umysłowy jak mężczyzna i że i pośród kobiet znajdują się jedynostki wprost genjalne, świadczyć może chociażby to, co już dotychczas kobiety zdziałały.

Wszak znaną na cały świat jest Polka, wyżej wspomniana pani Curie-Skłodowska, która wsławiła się wraz ze swym mężem p. Piotrem Curie pracami nad radem. Znaną jest również druga laureatka nagrody Nobla, literatka Selma Lagerlöf, wreszcie słynna literatka i emancypantka Karim Michaelis i wiele, wiele innych. *„Ben Chorin".*

ANTONI ST. BASSARA.

Branki tatarskie.

Powieść na tle historycznem.

ROZDZIAŁ VI.

Ucieczka.

Jasyr tymczasem był już daleko.

Achmet, złupiwszy i spaliwszy Jampol, postanowił uchodzić jak najspieszniej, gdyż obawiał się pościgu, wiedział bowiem o wyruszeniu Stacha na zbadanie okolicy i o spodziewanym jego powrocie. Zdradził mu to przypieczony na ogniu jeden z chłopów jampolskich.

Nakazał zatem szybki pochód. Tatarzy skierowali się więc ku Dniestrowi, aby przedostać się na jego brzeg prawy, a dalej po odpoczynku w lesie bilcyckim przedrzeć się ku granicy multańskiej, poza którą wrazie pościgu mogliby się schronić, gdyby w ewentualnej walce szczęście przechyliło się na stronę Polaków. Tam czuliby się w każdym razie bezpieczniejszymi, gdyż Polacy, pozostając na stopie pokojowej z Multanami, nie ośmieliliby się przekroczyć ich granicy. Mogliby wprawdzie kałarsze multańscy napaść na ordyńców tatarskich, ale będąc z nimi jednej wiary, prędzej się dadzą ułagodzić, choćby przyszło nawet część łupu odstąpić.

Pochód jednak nie odbywał się zbyt szybko, gdyż konie, objuczone zdobyczą i zmęczone zbyt długim pochodem, ledwo wlokły nogi za sobą, a i jeńcy, których część musiała iść pieszo, opóźniali dość znacznie posuwanie się naprzód. Wprawdzie ordyńcy poganiali ich biczami, ale nie na wiele się to przydało, gdyż pokrwawione nogi nie pozwalały na szybsze posuwanie się.

Przybyto wreszcie w pobliże Kuźmina, gdzie Achmet postanowił przeprawić się na drugą stronę Dniestru. Wybrał niewielką kotlinę, otoczoną ze wszystkich stron sitowiem i trzcinami i w niej zarządził postój. Tatarzy powyciągali kawały surowego mięsa końskiego z pod siodeł i zajadali je chciwie, jeńcy zaś, obdarci i brudni, którzy nie byli skrępowani, pokładli się na trawie, aby również nieco odpocząć. Powiązanym popuszczono nieco krępujące ich sznury, aby mogli zbolałe członki wyprostować i rzucono im kawał dymiącego jeszcze mięsa końskiego z dobitego przed chwilą okulałego konia. Żaden braniec nawet na to ścierwo skrwawione nie popatrzył, choć głód począł im dobrze doskwierać. Poprosili tylko o nieco wody, aby módz pragnienie ugasić i zmyć z twarzy brud i krew, jaka tam po niedawnej walce zakrzepła.

Lepiej nieco przedstawiała się sytuacja dla pojmanych dziewcząt. Te nie były zupełnie skrępowane, a całą drogę odbywały konno, strzeżone tylko pilnie przez Tatarów, aby która nie popróbowała ucieczki. Tatarom zależało na tem, aby dziewczęta, szczególniej urodziwsze, zaprowadzić na miejsce w jak najlepszym stanie. Był to bowiem ich majątek, majątek większy od wszystkich zabranych łupów. Wskutek istniejącego u nich wielożeństwa potrzebowali wiele kobiet, a tych nigdy nie mieli u siebie dostatecznej ilości. A gdyby nawet, to nadwyżkę, jakaby się okazała, mogli korzystnie sprzedać do haremów na Krymie, albo nawet Turkom do samego Stambułu. W ten sposób bowiem niejednokrotnie bogaci Turcy powiększali swe haremy.

Achmet ocenił wielką wartość zdobytego jasyru, więc kazał go strzedz jak najpilniej, a wiadomo było, że za najlżejsze uchybienie groziła śmierć z jego ręki.

Choć wszystkie pojmane Jampolanki były urodziwe, to przecież Hanusia, Baśka i Ksenia górowały ponad nimi nietylko urodą, ale i wrodzonym wdziękiem, który każdą kobietę czyni jeszcze ponętniejszą i wartościowszą. Achmet pieczę nad nimi powierzył Jussufowi, który miał już poza sobą kilkanaście podobnych wypraw i podczas których zawsze podobne funkcje spełniał. Achmet dał mu do poznania, że za szczęśliwe dostawienie towaru na miejsce przeznaczenia czeka go sowita nagroda, a za najmniejsze uchybienie straszna kara.

Jussuf zresztą wiedział to sam dobrze i zawsze strzegł powierzonego sobie towaru bardzo sumiennie, a nieraz nawet w walce z pościgiem własnego karku nadstawiał, aby nie zawieść zaufania. Kary się nie bał, o nagrodę nie dbał. Był to jeden z tych rzadkich Tatarów, któremu nie szło o zyski, o zdobycze, ale szedł na niebezpieczne wyprawy dla samej walki, dla pohulania po stepach Ukrainy i Podola, dla zapolowania na zwierzynę ludzką. A kiedy inni po powrocie patrzyli, aby jak największy udział mieć w zyskach, on poprzestawał na małem, a wskutek tego zdarzało się czasem, że i nic nie otrzymał.

Otrzymawszy polecenie, nie odszedł jednak zaraz, jak to był zwykł dawniej czynić, ale zatrzymawszy się chwilę, rzekł:

— Achmecie! Znasz mnie i wiesz, że polecenie wykonam sumiennie, ale i wiesz i to, że kary się nie lękam, a o nagrodę nigdy nie stałem. Dziś jednak poproszę o nagrodę za wszystkie czyny moje.

Mówiąc to, spoglądał w stronę Baśki, która siedząc na ziemi, gładziła jasne włosy Hanusi i szepcąc jej kojące słowa, starała się wlać otuchę w jej serce.

Zrozumiał Achmet mowę Jussufa i choć już zgóry przeznaczył wszystkie trzy dziewczęta jako zdobycz dla siebie, nie śmiał odmówić życzeniu swojego podwładnego, gdyż wiedział, że ten nie otrzymawszy tego, o co prosi, samby sobie wziął nagrodę, jakaby mu się podobała. Wprawdzie mógł pod jakimkolwiek pozorem unieszkodliwić Jussufa, ale obawiał się wystąpić przeciw niemu zbyt ostro, gdyż Jussuf miał wielu zwolenników, którzy nienawidzili Achmeta, a którzyby byli stanęli po jego stronie. Skinął więc głową na znak zgody i dodał:

— Pilnuj tych dwóch — wskazał na Hanusię i Ksenię — i — rozglądnął się po siedzących dziewczętach, aby wybrać trzecią z nich w miejsce Baśki, którą mu z przed nosa Jussuf sprzątnął — i tej trzeciej — dodał po chwili, wskazując na Jadwisię Skowrońską.

Znać było zadowolenie na twarzy Jussufa z takiego obrotu sprawy. Pożegnał więc Achmeta i skierował się ku siedzącym dziewczętom na trawniku. Usiadł opodal nich i wpił swój wzrok w Baśkę, która szeptała coś do ucha Hanusi i uśmiechała się do niej, jak to nieraz czyniła we dworze jampolskim.

Hanusia nie odpowiadała nic. Zatopiła się cała w wspomnieniach, myśląc i o Stachu, który nie wiadomo gdzie teraz się znajdował, i o ojcu i matce, których wśród jeńców nie widziała, a o których nie miała pojęcia, co się z nimi stać mogło. W główce jej wirowały myśli najróżnorodniejsze. To raz postanawiała zerwać się i uchodzić corychlej z tego piekła, w jakiem się znalazła i do jakiego ją prowadzono. Ale rozsądek powiadał jej, że ucieczka byłaby niemożliwa, że po kilku krokach ujętoby ją i skrępowano, a to pogorszyłoby jeszcze i tak już niewesołe jej po-

łożenie. Gdyby choć padła w ucieczce powalona celnym strzałem Tatarzyna, toby przynajmniej wyzwoliła się z tej przykrej sytuacji. Ale pogorszyłoby się położenie innych.

Nie widziała drogi wyjścia. Rozpacz szarpała jej serce, ale na zewnątrz nie pozwalała się jej wydobywać, aby nie pogarszać i tak już smutnych myśli swych nieszczęśliwych towarzyszek, które siedziały smutne i zapłakane, nie wiedząc, jaki los je spotka i co się z nimi w najbliższej przyszłości stanie.

Może najbardziej ze wszystkich bolała Ksenia. Zawsze smętna i zamyślona, zupełny kontrast Baśki, podparła swą główkę dłonią, siedziała, jakby posąg boleści, po którym sączyły się przeźroczyste krople łez, jakby rosa, zwilżające jej rozpalone policzki.

— Panienko! — ozwała się Baśka, zwracając się ku Hanusi. — Niech się ino panienka nie trapi! Nie będziemy tu wiekować. Powróci pan Stach z Lipkami do Jampola, zobaczą, co się tam porobiło, poskoczą za Tatarami, stłuką ich i nas ze sobą zabiorą.

Hanusia potoczyła wzrokiem po czeredzie tatarskiej.

— Popatrz, ilu ich jest! Gdyby nawet nasi nadeszli, nie zmogą ich i nas nie uwolnią.

— Nie zmogą? Coby nie zmogli! Jeden Lipek wystarczy na dziesięciu, a już zgoła pan Stach i dwudziestuby dał rady. Powiadam panience, że tak będzie, a nie inaczej.

— Dałby Bóg! Dałby Bóg! — mówiła Hanusia, ale nie przywiązywała zbyt wielkich nadziei do twierdzeń Baścynych, gdyż wiedziała, że nie po to Tatarzy brali jasyr, aby sobie go pozwalali odbijać. Wprawdzie były i takie wypadki, ale należały one do rzadkości.

Jak motyl lubiący przelatywać z kwiatka na kwiatek, tak i myśl Baścyna nie lubiła zbyt długo na jednym przedmiocie się zatrzymywać. Zwróciła się więc szybko ku siedzącemu opodal Jussufowi i poczęła wołać:

— Panie Tatar! Panie Tatar! Chodźno waść nieco bliżej nas. Chcę cię się o coś zapytać!

Uwagę Baśki od pierwszej chwili zwrócił na siebie świdrujący ją wzrok Jussufa. Domyśliła się, bo któražby niewiasta nie zrozumiała, co do niej wzrok mężczyzny chce powiedzieć, domyśliła się więc i Baśka, co wymowny wzrok Jussufa wypowiadał pod jej adresem. Poznała, że może mieć w nim najlepszego przyjaciela, jeżeli mu będzie posłuszną, ale też i największego wroga, jeżeli okazałaby się oporną jego zamiarom. Nie zastanawiała się jednak, co dalsza przyszłość przynieść może, postanowiła jedynie wykorzystać teraźniejszość, aby z niej jak największe zyski dla siebie i swych towarzyszek wyciągnąć.

Zrozumiał Jussuf wezwanie, gdyż język polski był mu nieobcy, albowiem, przebywając często na wyprawach osłuchał się go od napadanych, jak i od pobranych w jasyr. Przychodziło mu to tem łatwiej, że był on synem Polki, zabranej przed latami do niewoli i Tatarzyna, więc już z piersi matki wyssał pociąg do języka polskiego.

Jussuf podniósł się z ziemi i pospieszył na wezwanie Baśki. Szedł zwolna, majestatycznie, zupełnie nie po tatarsku. Choć twarz i nieco zezowate oczy czyniły go podobnym do innych Tatarów, to przecież wszystkie ruchy dawały poznać, że w żyłach jego płynie krew lechicka i to krew szlachecka.

Jussuf, zbliżywszy się do dziewcząt, położył rękę na piersi, jakby im chciał powiedzieć, że pragnie być ich sługą i niewolnikiem, zapytał wzrokiem, po co został wezwany.

— Panie Tatar! — ozwała się Baśka, spłoniona cała pod ognistem wejrzeniem przybyłego — proszę nam powiedzieć, jak długo nas tu trzymać zamierzacie.

— Jussuf mi dano na imię — odpowiedział przybyły, jakby tem chciał zaznaczyć, że uważa się za coś lepszego od innych Tatarów i nie życzy sobie, aby go tem mianem nazywano. — Nie długo już, nie długo — dodał — a radbym, aby to nastąpiło jak najprędzej, radbym iść tam, gdzie szczęście będzie, gdzie wesele będzie, gdzie radość się rozpocznie...

— No to wracajmy do Jampola — zaszczebiotała Baśka — bo tam najweselej, a nigdzie szczęścia większego nie znajdziesz, jak tam.

— Nie dla wszystkich — odpowiedział Jussuf i jakieś westchnienie wydarło się z jego piersi. — A ja chcę iść do szczęścia, któreby było i dla was i... dla mnie!

Dalszą rozmowę przerwał krzyk, jaki powstał wśród obozowiska. Wszyscy odwrócili oczy w tę stronę, skąd hałas pochodził i oto zobaczyli rzecz najmniej oczekiwaną. Przez obóz pędziła niewiasta z rozpuszczonym na wiatr włosem, a za nią kilku ordyńców. Była to Jadwisia Skowrońska, która postanowiła za wszelką cenę ujść z pośród tej dziczy mongolskiej, lub raczej zginąć, aniżeli dać się wieść na długą tułaczkę, zakończoną hańbą lub śmiercią.

Tatarzy biegli za Jadwisią, chcąc ją ująć żywcem, aby nie stracić smacznego kąska, jaki biedne dziewczę miało dla nich stanowić. Ale Jadwisi rozpacz sił dodawała i zdawało się, że przecież zdoła się ocalić. Ale w tem nadbiegł z boku jakiś Tatar, śmignął w powietrzu sznurem i oplótł nim białą szyję Jadwisi. Uczynił to tak, jak czynią kowboje, łowiący na stepach konie. Zatrzepotała nieszczęśliwa panienka rękami i osunęła się na ziemię. Widać pociągnięcie było zbyt silne, bo gdy przybieżano do niej, duch nieszczęśliwej był już daleko od jej ciała.

Przyskoczył Achmet do owego Tatarzyna, który Jadwisię życia pozbawił i jednem uderzeniem łeb mu rozpłatał.

— Psy! — zawołał. — Gdyby tak dalej, to niktby z naszego jasyru nie pozostał.

Na widok ginącej Jadwisi jęk wyrwał się z piersi pozostałych dziewcząt. Baśka, zacisnąwszy w skurczu drobne swe piąstki, przyskoczyła do Jussufa i niemal w samo ucho poczęła krzyczeć:

— Jeszcze jedna tylko... Niechby tylko jedna, a zginiesz ty i ja zginę! Oczy wydrapię, serce wydrę, zmiażdżę, zabiję!...

Patrzył Jussuf na dziewczynę, która jeszcze bardziej zaczynała się mu podobać. Cenił jej odwagę, że wśród zgraji wrogów nie zawahała się przyskoczyć do niego i nie prosić o cokolwiek, ale grozić i śmierć obiecywać. Nie drażniło go to zupełnie. Zamiast ją oburknąć, począł uspokajać i zapewniać, że żadnej z nich nic się nie stanie, byle tylko nie próbowały ucieczki, gdyż na nic się to nie przyda. Wszak widzą, że naokół znajdują się Tatarzy, którzy żadnemu jeńcowi ujść nie pozwolą, a wszelka próba może tylko pogorszyć położenie innych.

Jakby na potwierdzenie jego słów, Achmet wezwał go do siebie i polecił bez wyjątku wszystkich jeńców skrępować. Oparł się temu jednak Jussuf i odpowiedział, że za powierzone sobie dziewczęta głową odpowiada i że ani myśli zastosować się do Achmetowego rozkazu.

Tym razem więc unikły biedne branki losu, jaki ich mógł spotkać, gdyby nie interwencja Jussufa.

Wypadek z Jadwisią przyspieszył jednak przeprawę czambułu przez Dniestr. Achmet obawiał się, że im dłużej będą się zatrzymywali na jednem miejscu, to pobliże Jampola może zachęcić jeszcze i innych do podobnych prób.

Tatarzy nie zwlekali więc. Nacięli corychlej łozy i trzciny, które powiązali w odpowiednie pęki, a te po kilkanaście sztuk pospajali ze sobą drążkami i tratwy były gotowe.

Zaczęto przedewszystkiem załadowywać jasyr, aby go przeprawić na drugi brzeg rzeki. Ordyńcy wlekli po dwóch i po trzech ludzi na tratwy i przywiązywali ich do żerdzi, spajających pęki, poczem dorzucali nieco łupu, a kiedy było już wszystko gotowe, tratwę ową przywiązywano do ogona końskiego i nahajką popędzano biedne zwierzę, aby przeciągło ten niewybredny statek na prawy brzeg Dniestru.

Przeprawy pilnował sam Achmet, to też wszystko odbyło się w największym porządku. Kiedy cały czambuł wraz z łupami i jasyrem znalazł się już po drugiej stronie rzeki i gdy kilku z Tatarów puszczało z wodą niepotrzebne im już teraz tratwy, spostrzeżono zbliżających się ku Dniestrowi Stachowych Lipków. Achmet, ukryty wśród trzcin i szuwarów, zbliżył się nad sam brzeg wody i, sam niewidzialny, obserwował siły Stacha. Jak wiadomo, były one znacznie słabsze od sił Achmetowych, to też Tatar z zadowoleniem stwierdził ten fakt i był pewny, że z tej strony nie spotka go żadna niespodzianka. Mimo to postanowił wszelkim ewentualnościom zapobiedz. A więc przedewszystkiem przywołał do siebie Jussufa i starego Mamaja i polecił im, aby z łupami i jasyrem uchodzili co żywo, kierując się jak najbardziej ku granicy multańskiej. Spodziewał się bowiem utarczki, więc nie chciał narażać zdobyczy na niepewne losy. Wprawdzie nie obawiał się porażki, gdyż górował siłami nad przeciwnikiem, ale wiedział przecież, że jeńcy byliby mu tylko zawadą, a nawet wrazie chwilowego niepowodzenia mogliby mu być przeszkodą do ostatecznego zwycięstwa. Dowództwo nad eskortą jasyru powierzył Mamajowi, a dodał mu do pomocy Jussufa, któremu wprawdzie od pewnego czasu nie ufał, ale co do którego inaczej postąpić nie mógł, aby nie wywołać wyraźnego sprzeciwu.

Mamaj wybrał garść ludzi, którzy otoczyli swą zdobycz, i wyruszył szybko ku zachodowi. Achmet zaszył się w lasy bilcyckie i w nich na znanej nam już polanie postanowił oczekiwać na przeciwnika. Nie spodziewał się, że w sukurs Stachowi przyjdzie pan Krwawicz i że zadadzą mu klęskę, jaka nigdy jeszcze go nie spotkała.

Ale chociaż Achmet poniósł klęskę, jasyr jego ocalał, gdyż uprowadził go Mamaj w okolice, gdzie był już bezpieczny przed polskim pościgiem, tembardziej, że potyczka, jaka miała miejsce pomiędzy Tatarami a polską pogonią, ułatwiła mu znaczne oddalenie się ze swoim łupem.

I dlatego Stach nie znalazł jasyru w lesie bilcyckim i dlatego nie znalazł tam po nim żadnego śladu, gdyż Mamaj poszedł inną drogą, na którą Stach w swym pościgu nie natrafił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Jak szatan opętał serce ludzkie pożądaniem złota?

(Baśń starodawna.)

Istnieje baśń stara, tak stara, że nikt nie wie kiedy i u jakiego narodu powstała, że gdy potomkowie Adama i Ewy za grzechy rodziców w trudzie i pocie czoła na chleb powszedni pracować musieli, czuwał nad nimi Anioł Pański, by nie upadli na duchu i ziarna cnót wszelkich na niwie serc ich niestrudzenie zasiewał.

Nie podobało się to duchowi ciemności, który nie mogąc zapomnieć, że bramy do przybytku wiekuistej szczęśliwości przed nim na zawsze się zamknęły, pragnął za własną niedolę zemścić się nad plemieniem ludzkiem i też je światłości wiekuistej pozbawić.

Walka jednak była nierówną, bo Anioł Pański miał nad złym duchem przewagę. Wprawdzie udało mu się w postaci węża Ewę skusić do grzechu, lecz Pan Bóg obiecał zesłać Syna Swego, który wygnaną z raju ludzkość miał z grzechów odkupić.

Myśl ta nie dawała szatanowi spokoju, a przepowiednie, że Matka Jezusowa głowę wężowi zetrze, napełniała go okrutną obawą.

Myślał i myślał, jakby to dobry zasiew cnót wszelkich, sianych przez Anioła Pańskiego zniweczyć i ludzkość w otchłani grzechu pogrążyć, aż raz przyszła mu myśl, by rzucić na ziemię garść złota i zbudzić w sercach ludzkich pożądanie tegoż złota.

Jak pomyślał, tak uczynił.

Chwycił w szatańskie swe dłonie pełną garść złota i rzucił na ziemię między pracujących w pocie czoła na chleb powszedni ludzi.

I otóż na widok lśniących kawałków złota ludzie rzucać poczęli swe zajęcia, cisnąć się do złota i wydzierać je sobie nawzajem.

Szatan aż zawył z radości, tak, że aż sklepienia piekieł zadrżały i znów pełną garść złota rzucił na ziemię.

Powstał jeszcze większy zgiełk, większa niezgoda między ludźmi, bo chciwość powstała w ich sercach. Syn, by dostać się do złota, gotów był deptać po własnym ojcu, brat bratu wzajem wydzierali sobie lśniące kawałki złota, przyjaciel zdradzał przyjaciela, mąż żonę, żona męża.

I tylko przez chciwość Kain zamordował Abla, przez chciwość wieki całe później Judasz zdradził Chrystusa, przez chciwość, przez pożądanie złota wszelkie występki krzewić się w sercach ludzkich zaczęły i tępić ziarna cnót wszelkich.

Anioł Pański zakrył swe oblicze i gorzko zapłakał, bo uczuł, że duch ciemności tym razem go zwyciężył. Ale nie dał za wygraną i wciąż czuwa nad pogrążoną w grzechach ludzkością i czeka aż wybije godzina, w której chciwość i pożądanie złota wygasną, jak płomień nieczysty, w sercach ludzkich; godzina, w której ludzie poznają, że wszelkie dobra doczesne są tylko rzeczą przemijającą i niczem są wobec wiekuistej szczęśliwości.

Stefanja Tuchołkowa.

Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu.

Dnia 16 maja b. r. Pan Prezydent Rzeczypospolitej polskiej otworzył Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu. Może być, że niejeden z naszych Czytelników będzie miał sposobność ją zwiedzić, gdyż będzie ona trwała do 30 września i tam będzie mógł podziwiać te cuda, jakie ręka ludzka dokonać potrafi. Wystawa ta, to drugie miasto. Teren jej obejmuje kilkaset morgów, a wznoszą się na nim liczne, przepiękne budowle, w których zgromadzone są najróżnorodniejsze wytwory rąk polskich. Już same budynki są nadzwyczaj oryginalne i ciekawe, a cóż dopiero mówić o tem, co się w nich znajduje. Od najmniejszych drobiazgów do największych machin wszystko się tam znajduje.



Wejście na P. W. K. od strony dworca głównego.

Osobny, olbrzymi dział zajmuje rolnictwo. — Przestrzeń objęta tym działem równa się obszarowi całych błoń krakowskich. Jest tu cały szereg małych i większych pawilonów, a prócz tego cała masa rzeczy, mających związek z rolnictwem stoi na placach. Można tam będzie zobaczyć najróżnorodniejsze narzędzia rolnicze, o jakich dotychczas nie mieliśmy pojęcia, a które nam w nadzwyczajny sposób pracę ułatwić mogą, można będzie ujrzeć wszystko to, co ziemia nasza za staraniem rolnika wydaje, jak i to, co on z produktów tej ziemi wytworzyć potrafi. Można będzie widzieć liczne okazy bydła takich ras, które największą korzyść rolnikowi przynieść mogą.

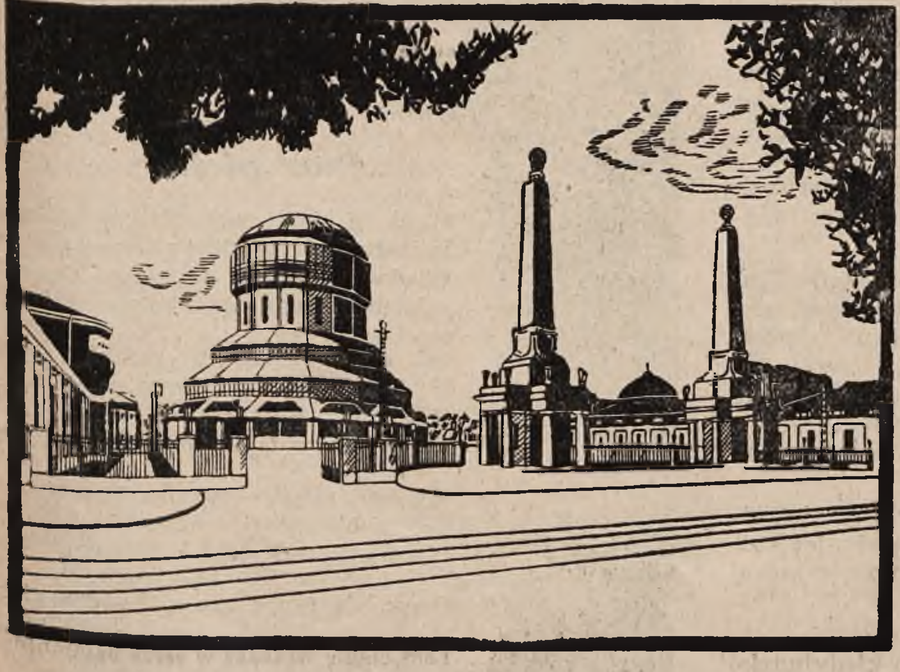
Słowem na wystawie tej będzie można oglądać wszystko to w najlepszym gatunku, co myśl polska wytyczyć, a ręka polska wykonać potrafiła.

Ponieważ zbyt długie zwiedzanie wystawy mogłoby znużyć niejednego, dlatego też celem dania odpoczynku zwiedzającym urządzono również miasto uciech i zabaw, gdzie wygodnie będzie się mogło pomieścić naraz kilkanaście tysięcy osób na różnego rodzaju karuzelach, huśtawkach, kolejkach, beczkach rozkoszy i innych wyszukanych rozrywkach.

Oczywiście urządzenie takiej wystawy pociągnęło olbrzymie koszta, bo aż 15 miljonów złotych, ale pieniądze te nie są stracone, gdyż część ich zwróciła się już, albowiem każdy, kto tylko chciał posłać coś na tę wystawę, musiał zakupić na niej dla siebie miejsce, co przyniosło ponad 8 miljonów złotych. — Reszta zaś tych kosztów zwróci się za bilety wstępu na tę wystawę. — A gdyby nawet był jakiś niedobór, w co wątpić należy, to przecież przez wystawę zyska nietylko Poznań, ale kraj cały, bo obcy zaznajomią się z wytwórczością rąk naszych i zapewne zwrócą się z zamówieniami do nas.

Kupcy zagraniczni, którzy przybędą na wystawę, zobaczywszy, jakie przedmioty kraj nasz produkuje, a których brak w ich ojczyźnie, poczynią u nas zamówienia, wskutek czego wpłynie do kraju naszego większa ilość kapitałów zagranicznych. Skutki wystawy nie będą doraźne, ale potrwają czas dłuższy i przyczynią się wydatnie do podniesienia w naszym kraju dobrobytu

Aby dać choć słabe pojęcie o owej Wystawie, zamieszczamy dwa obrazki, z których pierwszy przedstawia wejście na Wystawę od strony dworca kolejowego, drugi widok na pawilon przemysłu naftowego i hale ciężkiego przemysłu.



Widok na tereny wschodnie P. W. K., z pawilonem przemysłu naftowego i halą ciężkiego przemysłu.



MACIEK BZDURA GADA:

— Maciek! powiedz cosik do śmichu! Maciek powiedz jakiego śpasa! — Tak mi powiadają nieraz ci, z którem! się mam tę okolicność spotkać, a ftórzy mają ten honor i za głupie dwanaście złotych cytają bez cały rok „Rolę“. Jem się zdaje, ze mnie tak łatwo śmich z głowy wytrzepać, jak babie pchły ze spodnicy. Dobry śpas to przychodzi do głowy raz na dziesięć lat, a nie jak pchły, których się mnozy w babskich wnętrznościach codziennie po półtory kopy. A dobrem śpasem jest ino taki śpas, z którego się potrafią śmiać wszyscy, a nie jeno jeden.

A przecie wiadomo wszyćkiem i kuzdemu z osobna, ze z cego inksego będzie się śmiał do rozpuku chłop ze wsi, z cego inksego miescuch, z cego inksego chłop, a z cego inksego baba. Co inksego rozśmiesy miescucha z Warsiawy, co inksego z Poznania lub Krakowa, a jesce co inksego z Wilna lub Lwowa. Dopiro taka rzec, która rozśmisy kuzdego jest naprawdę dobrem śpasem, a takich mało jest na świecie.

Śmiech a kochanie, to prawie wszyćko jedno. Tak śmich, jak i kochanie, albo wybucha nagle i nagle przechodzi, albo wytwarza się powoli i trwa długo. Smisną na przykład jest rzecą, jak zuźry się na ulicy onego i oną i jak on jest wysoki, a ona niziutka, on gruby, jak salceson, a ona mikrna, jak skrzat i jak se oboje spacerują, jak nigdy nic. La tych, co na nich patrzą, to jest to rzec śmisna, ale nie dla tych dwojga cepów. Oni są wtencas, jakby na pokucie. On musi się do niej schylać, jaze mu stos pacirzowy trzescy, a ona się musi do niego podciągać, jaze ją wnętrzności bolą.

Zreśtą u drugich, to coniebądź nas do śmichu pobudzi. Śmiejemy się naprzykład, gdy komu kapelus wiater z głowy zedrze i do błota śmignie, śmiejemy się, jezeli drugiemu pociąg z przed nosa ucieknie, śmiejemy się, jezeli kto na świzo pomalowanej ławce siędzie, abo ptasek komu na nos ciepły podarunek z pod ogona spuści, ale gdy nam się to samem przytrafi, to się nam wtedy śmiać nie chce.

U nas w Psiej Wólce to śmieją się z Magdy Franaskówny, której się jesce gdziesik przed Godami nieszcęśliwy wypadek przytrafił, a która tak na poczekaniu trochę przygrzysyła, a nie śmieją się z Franki Łapajówny, której to przygrzysenie co drugi dzień się przytrafia, ani się nie śmieją z pana organisty, który taki sam wanciuch obsyrni przed sobą nosi, jak i od paru tygodni Magda Franaskówna.

W mieście śmieją się na ten przykład, jak się której dzieuse kiecka podwinie i wylizą z pod niej króciutkie portecki, a nie śmieją się na wsi, choć której wiatr całe sutereny do cna odwali.

Casem chce ktoś coś do śmichu powiedzieć, ale z tego ludzie ani rus śmiać się nie chcą, a kiedyindziej inny znowu ktosik gada niby to nie do śmiechu, a wszyscy z jego powiadania rycą, jak plebański bycek. Opowiadał mi na przykład wkiejsik nas prefesur, ze od miasta do miasta jeździł sobie taki pan, co zapowiadał, ze będzie ludziom do śmichu gadał. Kupowali ludzie bilety, schodzili się do wielgaśnej izby i słuchali, a ten bajał ni w pięć ni w dziewięć, ale się nikt nie śmiał, bo i nie było z cego. Nie dosyć, ze się nikt nie śmiał, ale go jesce wygwizdali. Dopiro raz przyjechał do jednej mieściny, a kiedy się ludziska ześli, to on przed zacęciem swojego gadania chciał się jem ukłonić, ale zrobił to tak niezgrabnie, ze gruchnął na dół z podwyzsenia. Ludzie ryknęli śmichem i śmiali się bez cały wiecór, choć nic śmisnego nie słyseli.

Inacej było za to u nas w Psiej Wólce w tamtą niedzielę. Przyjechał do nas ten pan, co my go na posła do sejmu w Warsiawie wybrali, zwołał chłopów do karcmy i zacął powiadać, co on to la chłopów zrobił, jaki on to mądry i jak on to la ludu pracuje. Chciał niby gadać nie do śmichu, a przeciez z jego powiadania jaze ludzie ryceli, a mnie po dziś dzień z tego śmiania jesce pępek boli.

Łatwiej jest rozśmisyć babę, anizeli chłopa. Baba będzie się śmiała, jak się jej sąsiadce kiecka podwinie, jak się jej kurcęta nie zdarzą, jak się jej jaki przytrafunek wydarzy, choćby i przed paru miesiącami; za to chłop choćby widział najbardziej ululanego swego kamrata, to się śmiał nie będzie, ino go załość obejmie i juzby wolał, zeby się to było jemu samemu przytrefiło, a nie jego przyjacielowi.

Tak tedy nie wiadomo, co i kiedy la kogo jest śmisne, i bez to nie trzeba od nikogo gadania do śmichu wymagać. Latego tez i ja postanowiłem sobie juz nigdy więcej do śmichu nie gadać, ale będę od dziś chodził w zupełnie powaznym stanie. Moze być, ze wtedy prędzej ludzie będą się ze mnie śmiali. Amen.



„Czar pieśni“.

Płynie z klasztornej wieżycy nieśmiele
Hejnał wieczorny, tkliwe dzwonów granie
Wiedząc, że płynie na własne skonanie,
Jako codziennie rówieśników wiele...

Jak głucho tutaj, gdy mroków topiele
Na kołyszącej się do snu polanie,
Gdy widmo nocy w oczach moich stanie,
Dusza nie może się pomieścić w ciele.

O pieśni moja! — ukojna i smutna,
Gdy ciebie zrodzi wyobraźnia lotna
Dlaczegoś straszna, jak ta noc okrutna.

Czego nie lecisz, tam — gdzieś niepowrotna,
Lecz ciągle wracasz w serce bałamutna—
I kusisz duszę — ty pieśni samotna!!

Józef Frasik.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Indje VII.

Najpiękniejszem po Tadżu miastem grobowem w ogrodzie jest grób wielkiego Akbara w Sikara, godzinę drogi od Agry.

Jedzie się przez bazary barwne i rojne, a później przez przedmieścia i osady krajowców, wreszcze przez grobowe pola, zasiane gęsto mniej lub więcej okazałemi grobowcami.

Pałac grobowy Akbara otoczony jest, podobnie jak Tadź, malowniczym ogrodem i potężnemi budowlami z czerwonego piaskowca, służącymi za bramy ogrodu. W środku ogrodu czteropiętrowy palac w kształcie ściętej piramidy. Trzy dolne piętra z czerwonego piaskowca, czwarte, najwyższe z białego marmuru.



Sikandra. — Brama grobu Akbara.

Naokoło każdego piętra gelerje i podcienia, otoczone kolumnadą i mnóstwem kopulastych wieżyczek. Każde wyższe piętro zajmuje mniejszą powierzchnię. Najwyższe piętro z białego marmuru, to już tylko kwadratowa, nie przykryta niczem, oświecona jaskrawem słońcem tarasa, zamknięta z boków łukowemi oknami, w których zamiast ram i szyb, najmisterniejszej roboty marmurowe siatki, jak koronkowe woale delikatne i lekkie.

Wśród białej platformy znajduje się marmurowy sarkofag a na nim widnieje tylko jedno słowo: Akbar.

Któż to był ten Akbar? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba dać krótki pogląd na historję Indji. Otóż pierwszymi, którzy zawładnęli tą bogatą krainą, byli zdobywcy z rasy Mongołów: Dżingis i Timur. Najechali oni na kraj ten i zostawili po sobie tylko zgliszcza i popioły. Zwłaszcza Timur osiągnął wprost rekord mordów, krwi, pożarów i zniszczenia. Pamiętny jest pod tym względem sławny marsz Timura na Indje z r. 1398, wyprawa zdobywcza „kulawego podpalacza i rzeźnika świata“, tem łatwiejsza, że ludy i książęta Indji nie zdobyły się na żaden opór. Ani jedno miasto, ani jedna wieś nie ocalały od podpalenia, ani jeden dorosły mężczyzna nie uszedł z życiem, bez względu na to, czy się odrazu poddawano, czy też próbowano obrony.

Najkrwawszem było zdobycie Delhi, po którem Timur okrzyknięty został władcą Indji we wszystkich meczetach. Po krótkim jednak pobycie Timur opuścił Delhi, zdążając inną drogą i paląc niezniszczone osady i mordując wszystko, co jeszcze żyło, z powrotem do swej stolicy w Samarkandzie. I nie zostawił w Indjach ani wojsk, ani rządu, ani organizacji żadnej, tylko jedynie zgliszcza, trupy, anarchję i zarazę.

Przez 40 lat nie miały potem Indje ani władzy, ani rządów żadnych, nietylko w rzeczwistości, ale nawet ani z imienia.

W 120 lat po tej krwawej orgji przedsięwziął znów wyprawy zdobywcze do Indji i zaczął tu na serjo budować państwo pierwszy z wielkich Mongołów, potomek Timura, Babar. Jakże jednak inaczej wyglądały te wyprawy zdobywcze Babara w porównaniu do wypraw jego krwawych przodków. Wielkim zdobywcą, ale i wielkim i szlachetnym człwiekiem był Babar.

Zamiast w krwi i pożarach, jak jego przodkowie, Dżingis i Timur, lubował się w sztuce i naukach. Był muzykiem, poetą, malarzem i awanturniczym romantycznym rycerzem.

Po zdobyciu Indji użył Babar zdobytych olbrzymich skarbów na poprawę doli mieszkańców, na budowle i ulepszenia, i na organizację olbrzymiego państwa.

Następca Babara, Humajun, rozszerzył państwo ku południowi w szeregu ze zmiennem szczęściem podejmowanych wypraw.

Głównym jednak budowniczym i organizatorem państwa był trzeci z kolei władca z rasy Mongołów, jeden z największych ludzi i władców w dziejach świata, Akbar. W kilka lat po wstąpieniu na tron, w 18 roku życia ogłosił jakby program swych rządów, tak ludzki i sprawiedliwy, że do dziśdnia może być wzorem dla niejednego władcy i dla niejednego rządu na całym świecie. Ogłosił on swobodę wiary i języka, równe prawa dla wszystkich, a programowi swemu pozostał wierny do śmierci.

Akbar umarł po pięćdziesięcioletnich swoich rządach. Umarł władcą, co wyśnił sen wspaniały stworzenia i utrwalenia olbrzymiego i najbogatszego na świecie państwa, i ten sen wcielił w życie i faktem uczynił na przeciąg swego życia — ale tylko na przeciąg życia!

Następcy jego zrujnowali jednak wielkie dzieło Akbara.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli" przez K. L.

Dalszy ciąg powieści z numeru 19-go.

32. Straszna niespodzianka.

Gdy pułkownik Rogers wraz z mister Doublayem, przybyli do willi plantatora, było już po ślubie. Właśnie goście weselni zabawiali się wesoło, zaś pan młody udał się do kasy domowej z polecenia teścia, aby wziąć pieniądze na podróż poślubną.

Na czatach przed willą pozostał mister Doublay, pułkownik Rogers zaś, kazał się zameldować plantatorowi.

Kiedy Saint-Artay przechadzał się wzdłuż sali biesiadnej, zbliżył się do niego służący, oznajmiając o przybyciu pułkownika.

— No któż to taki? — zapytał gospodarz.

— Jakiś wielki, okazały pan — nie podał nazwiska.

W nieróżowym nastroju ducha pospieszył do przedpokoju interesowany.

Pułkownik Rogers przystąpił doń.

— Z kim mam honor? — zapytał krótko plantator.

— Pułkownik policji Rogers.

— W jakiej sprawie przychodzisz pan — ale krótko — bo moja obecność tam, — wskazał w kierunku sali, — bardzo potrzebna.

— Czy zbrodniarz aresztowany, sir?

— Jaki zbrodniarz?

— Jakto? Nie otrzymałeś pan mojej depeszy? — zawołał Rogers z przerażeniem.

— Depesza? — zbrodniarz? Panie, pan się widocznie mylisz, znajdujesz się pan we willi Saint-Artay.

— Ta, tak, — słusznie — i pytam powtóre: nie otrzymałeś pan mojej depeszy? — nie kazałeś pan w tej chwili aresztować zbrodniarza?

Plantator rzekł oburzony:

— Panie, jeśli tu chodzi o głupi żart, to niech pan sobie rozmyśli, że z podobnymi żartami źleś się pan zwrócił do mnie!

— Nie ma pan powodu gniewać się! — rzekł chłodno Rogers.

— No, jakże mam się zachować wobec tego wszystkiego?

— Chwilkę cierpliwości, — rzekł Rogers, — moja depesza zdaje się nie dostała się w pańskie ręce. Chodzi o szczęście całej pańskiej rodziny.

Plantator przytaknął miną.

— Pański zięć, jest niejaki Bruno Warren? — zapytał Rogers.

— No tak, pewnie — no cóż?

— Zatelegrafowałem panu dzisiaj rano, abyś go pan natychmiast kazał aresztować — to niebezpieczny zbrodniarz, ścigany listem gończym.

Chwilkę patrzył plantator zdumiony, a potem wybuchnął śmiechem. Potem zwrócił się do pułkownika i oświadczył mu, że nie ma czasu dłużej z nim bezcelowo rozmawiać...

Wtedy pułkownik Rogers, oświadczył mu stanowczo, że jeżeli mu nie ułatwi spotkania ze swym zięciem, to będzie zmuszony zawezwać pomocy komisarza tutejszej policji i przemocą wkroczą do willi w celu zaaresztowania zbrodniarza.

Saint-Artay, widząc, że pułkownik, dokona swej groźby, wpuścił go więc i wszedł z nim na salę, przedstawiając gościom, jako przyjaciela kapitana Warrena.

Pułkownik Rogers udał się wraz z gospodarzem do gabinetu tegoż, chcąc rozmówić się z Warrenem.

Jakież jednak było ich zdziwienie i przerażenie, gdy nie zastali nikogo, Saint-Artay, zaś spostrzegł kasę otwartą...

Wzburzony, przyskoczył do niej i padł bezprzytomny na ziemię. Był ograbiony, wszystkie papiery wartościowe wraz z gotówką, zniknęły.

Natychmiast wypadł pułkownik Rogers za włamywaczem, chorego zaś polecił opiece domowej.

Nadbiegł służący.

— Pokażcie mi drzwi tylne — natychmiast! Jestem urzędnik policyjny. Chwycił wahającego się za rękę i biegł z nim.

Jeden rzut oka wystarczył, by poznać straszną rzeczywistość.

Towarzysz jego Doublay leżał blady w krwi — z otwartemi oczyma.

Chwycił go za rękę — zimna jak lód. Rogers stracił panowanie nad sobą.

— Biedny mój — biedny przyjacielu — jęknął wzruszony.

Po chwili opamiętał się i pobiegł na górę. Tu zastał chorego w strasznej gorączce.

— Proszę pana do pokoju panienki, — błagał jeden z służących, łaskawa panna zamknęła się i nawet łaskawej pani, do siebie nie chce wpuścić. Tam musiało stać się jakieś nieszczęście.

Gdy pułkownik wszedł do pokoju Luizy wraz z nieszczęśliwą matką, oczom ich ukazał się okropny widok. Oto na ziemi, przy biurku, leżała martwa panna młoda z przestrzelonem sercem.

Na biurku zaś leżał list nieszczęśliwej, w którym błagała rodziców o przebaczenie, ale nie mogła dłużej żyć odarta z złudzeń i wiary w ludzi... i tak okropnie zhańbiona...

W bezgranicznym bólu rzuciła się pani Saint-Artay na zwłoki córki. Pułkownik wyszedł cicho z pokoju.

— Biada ci, przeklęty! — rzekł on, schodząc na dół schodami, — wyrzutku piekła. I na ten dom szczęśliwy przyniosłeś niedolę i płacz. O! biada ci, kiedy cię znajdę.

Powóz za powozem zajeżdżał przed willę. Goście niejako uciekali, przeżywszy tutaj straszliwe godziny.

Lekarz dał znać skinieniem, że dla nieszczęsnego ojca Luizy, niema ratunku...

A tam na górze usiłowała zrozpaczona matka — bez łez — przywołać do życia jedyną swą pociechę słowami macierzyńskiej miłości.

A ten — ludzki potwór umknął dalej — szukać nowych ofiar — nowe siać łzy i bóle — i zniszczenie...

33. W nocnej kawiarni.

Iza przyszedłszy do zdrowia, natychmiast opuściła dom zdrowia, bo nawet i tu piękność jej groziła zgubą. Bowiem dyrektor domu zdrowia, był człowiekiem bez charakteru i jeżeli przybyła jakaś piękna pacjentka, prześladował ją swoją natarczywością...

Iza chcąc uniknąć nowych cierpień, opuściła miejsce pobytu.

Teraz znalazła się sama w obcem mieście, bez środków do życia. Już cały dzień błąkała się głodna, poszukując jakiegoś zajęcia. Spoglądała na liczne plakaty, może znajdzie choćby jaką nędzną posadę. Zwróciła uwagę na wielki szyld. Przeczytała: Centralna hala pieśni.

Na drzwiach wchodowych widniała kartka z napisem:

„Poszukuje się śpiewaczki“.

Iza drgnęła. Ożyła w niej nadzieja: była przecież śpiewaczką. Może ją przyjmą.

W sieni spotkała człowieka podeszłych lat — z twarzą poczciwca.

— Kogo pani szuka? — zapytał grzecznie.

Piękność widocznie mu zaimponowała.

— Czytałam, że tu przyjmują śpiewaczki.

— Proszę tedy za mną.

Znalazła się w pokoju, gdzie panował niekoniecznie wzorowy porządek. Na stole leżały nuty, stary fortepian stał koło okna.

— Proszę wybrać, — rzekł stary, pokazując nuty, — na próbę wystarczy pierwszy lepszy kawałek.

Zasiadł do fortepianu, tymczasem Iza przeglądała pieśni.

Podała mu jedną z nich.

— Ładnie — proszę, — rzekł stary i uderzył w klawisze.

Przygrywka skończyła się. Iza poczęła śpiewać: „Do ojczyzny radbym wrócić“. Pieśń polska, razem z francuskim tekstem.

A cóż to był za głos? Jej?

Straciła ostatnie źródło pomocy!

Kiedy skończyła śpiewać, myślała, że stary dobrodziej, podziękuje za taki śpiew.

Ale on wstał i rzekł spokojnie.

— Całkiem ładnie — tylko proszę nieco głośniej, bo nie będzie pani słychać. Ładnie! Właśnie mi brakowała pieśniarka.

Iza nie wiedziała, czemu zawdzięcza tę łaskę.

— Może pani dziś wieczorem wystąpić. Jaki ma pani kostjum?

— Mam tylko tę suknię, — szepnęła.

— A w tej nie może pani wystąpić; pani widocznie miała pożar. — Jak?

Iza miała łzy w oczach.

— No, jakoś to będzie? Kasiu, — rzekł zwracając się do swej żony, — zaangażowałem nową pieśniarkę, daj no tam jaką odpowiednią suknię. Może pani zmienić ją, jeśli będzie źle leżeć.

Kasia powróciła za chwilę z całym taborem pstrych sukienek.

Iza zarumieniła się.

— No to nieco za pstre, rzekł zwolna, — jako pieśniarka nie potrzebujesz pani tak bardzo wpadać w oko. Może inną jaką!

Iza, wybrała nareszcie ciemnobłękitną suknię, stary zapakował ją w arkusz papieru.

— Proszę! Nie znam pani wprawdzie, ale ufam jej twarzy. Proszę więc i 2 dolary zadatku. Może się pani przydadzą. Początkowo daję miesięcznie 20 dolarów, podobasz się pani — dam później więcej.

Zanotował sobie adres Izy.

Bogu dzięki, znalazła zarobek! Skąpy wprawdzie, ale jest. Będzie biedować i oszczędzać, — aby poszukiwać przytem za Liddy.

Wróciwszy do domu chciała Iza poczynić pewne zmiany w sukni, pokazało się jednak, że była robiona na osobę prawie tej samej postawy i wzrostu. Parę zmian wystarczyło.

Z pomocą gospodyni zapełniła też wycięcie u szyji, które było nieco za wielkie, jasną materją atłasową.

Minął dzień, Iza udała się do: „hali pieśni“.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BÓG.

(Nowelka.)

Wiosna czarodziejka powstała do nowego życia!

Młodziutki dziedzic „Dolinki“, pan Andrzej Porowski wstał pośpiesznie z posłania, ożywiony wonią napływającą do jego sypialni przez rozchylone okno. Ubrał się gorączkowo w poranny strój i bez czapki wybiegł na dziedziniec przywitać cuda nowej wiosny! Parobcy uchylili nisko przed nim swe czapki i przywitali go głośno na „Dzień dobry“. Odpowiedział im łagodnie, powiódł badawczo źrenicami po dziedzińcu, odchylił furtkę i zadowolony wbiegł do gazonu. Orzeźwiony świeżem powietrzem szedł piaskowemi alejami, wśród drzew, nakrytych soczystem liściem skropionych perlistą rosą. Lecz wzrok Andrzeja coraz przygasał, zadowolenie znikało, a sercem zatargał ból serdeczny. Przyszła mu na myśl jego umiłowana Ryśka leżąca od tygodnia w miejskim szpitalu...

Zatrzymał się przy klombach kwiatów. Z białych i szkarłatnych róż buchnęła woń rozkoszna i całą falą musnęła o delikatne nozdrza Andrzeja. Wchłonął ją głęboko w zdrową pierś, a pokrzepiony jej miłem zawrotem zaczął rozmarzonem wzrokiem przyglądać się pięknu, jakie rozsiała wiosna przy Bożej pomocy.

Słońce zawieszone na błękitnem niebie rozsiewało na świat jasne promienie. Całowało w czoło pana Andrzeja przez szpalery liści drzew, zaglądało z uśmiechem do kieliszków kwiecia i ślizgało się po bujnych trawach. Chór ptaszków rozbrzmiewał dookoła. Wszystko kwitło, pachło, dyszało życiem... Na widok tego słonecznego życia znów szarpnął jego sercem ból, bo odczuł brak Jej, pięknej Ryśki, którą tu pieścił w ramionach i snuł nić świetlanej przyszłości!

— Nie! on anie umrze! nie! szepnął rzewnie... Ona do mnie wróci! My musimy żyć razem i iść przez to życie tak, jak nakazał przez wiarę świętą Bóg.

Zacisnął wargi zębami aż do krwi, bo łzy żalu cisnęły mu się do oczu. Nie zważając na rosę, wpadł w krzewy róż i począł roztargniony zrywać kwiaty, wołając:

— Rysiu moja, to dla ciebie, chcę się podzielić z tobą wiosną, której ci tam brak, tylko nie umieraj!

Uroczystą ciszę napełniło jego wołanie łzawe płynące po gazonie. Słyszały go drzewa, ptaszki, kwiaty i trawy, tylko ona nie mogła dosłyszeć przez mury szpitalne.

Narwał bukiet róż i smutny powrócił do dworu. Kiedy odchylił drzwi, wzrok jego padł na biórko, na którem leżał telegram ze szpitala. Podszedł pośpiesznie i chwycił go drżącą ręką. Niepokój i radość, dwa połączenia tak niezgodne z sobą owiały jego duszę, gdy rozrywał kopertę. Przeczytał. Z rąk wypadła mu biała karta, a twarz pobladła jak chusta. Pan Andrzej wzruszony do głębi bolesną wieścią zawołał beznadziejnie:

— Umiera, moja Rysia umiera! zapalenie mózgu... O, Boże, nie zabieraj mi jej! Co mi ze świata, wiosny, róż, gdy mi najcudniejsza moja wiosna, miłość gaśnie! Boże zlituj się!...

Za chwilę wsiadł do powozu i wielce przygnębiony odjechał do niej.

W szpitalu na bieluśkiem posłaniu, leżała chora, bezsilna panna Marysia. Na białą poduszkę rozsypywały się złotą falą jej miękkie włosy, od których biła jasność jak od słońca, — a z pod ciemniejszych nieco

łuków brwi patrzyła z litością lazurowa toń jej ócz... Marysia oddychała powolnie, słabo... Mówić nie mogła, bo nadchodząca śmierć otulała ją już w swe zimne ramiona. Przed nią stał zamyślony poważnie lekarz, pragnący z obowiązku i poczucia swego uratować jej życie, młode jak maj. U nóg drogiej swej córki siedzieli strapieni rodzice, w bolesnem milczeniu, bo lekarz nakazał ciszę. Zalewali się rzewnemi, a cichemi łzami, spoglądając co chwila żałośnie na jedyne ich dziecko, w którą złożyli całą nadzieję na przyszłość.

Chora poruszała się niespokojnie, — chciała coś mówić, lecz próżny był wysiłek, bo usta niezdolne już były wydobyć głosu. Pierś zamknęła w więzieniu rozpaczy biedne jej serce, rwiące się całą siłą do jej Andrzeja, miłości! z którym pragnęła iść przez życie drogami błogosławionych praw katolickich!

— Nic nie pomoże — oznajmił jej rodzicom lekarz, poruszył ręką beznadziejnie, pożegnał ich i wyszedł ze współczuciem w duszy. Czuli piastunowie Marysi załkali rzewnie niepowstrzymanemi i serdecznemi łzami... Zagasła dla nich nadzieja! Zachodzące słońce słało przez okno ostatnie promienie chorej. Otwarła szeroko błękitne oczy i we łzach żalu patrzyła na te promienie, które może już ostatni raz oglądać miała.

Naraz otwarły się drzwi i na progu stanął pan Andrzej z bukietem purpurowych róż. Nie widział w tej chwili jej rodziców — nic, tylko ją, miłą. Nieograniczona miłość ku niej zawładła nim w zupełności. Patrzył z uśmiechem szczęścia na jej piękną twarz skąpaną różowem całunem zachodu. A kiedy spojrzała na niego słodkiemi oczami i poczęła coś cicho prosząco szeptać... Andrzejowi zgasł uśmiech, prysło zachwycenie bo przez myśl przebiegł dzisiejszy telegram. Przygnębiony, chwiejąc się na nogach, podszedł do niej. Przywitał się z jej rodzicami, a dowiedziawszy się od nich, że Marysia nie mówi, uczuł ostry ból szarpiący jego sercem. Upadł na kolana przed chorą i szeptał zduszonym przez łkanie głosem:

— Ryśko... moja... moja...

Wonne róże wypadły z jego rąk i sypały się na twarz i piersi jej. Ożywiona nieco jego przybyciem i tą przemiłą wonią, wysunęła z wysiłkiem prawą rączkę i głaskała jego głowę, a łzy rzewne płynęły strumieniem z jej oczu.

— Rysiu... Rysieńko! nie płacz, przemów — błagał Andrzej.

Nic nie odpowiedziała. Spojrzał po raz wtóry na jej twarz i szepnął cicho w duszy:

— Boże... i taka cudna Rysia ma umrzeć... nie!

Postanowił uczynić wszystko, żeby tylko zdrowie jej powrócić. Wstał, złożył na jej czole pocałunek i wybiegł na miasto, niosąc w sercu ciężki ból rozpaczy.

Dopytał się o mieszkanie doktora, który był u niej i począł go błagać jak dziecko o ratunek. Dawał mu wynagrodzenie większe ponad swoją majętność, by tylko jej zdrowie powrócił, lecz nic nie pomogło:

— Chybaby cud Boski, gdyby wyzdrowiała — powiedział lekarz beznadziejnie...

— Boże, wszystko przepadło! — jęknął Andrzej boleśnie i wyszedł.

Cichy zmrok spadał na ziemię i otulał fjoletowym płaszczem mury miasta. Z parku i ogrodów płynęła miła woń kwiatów, a ulicami szły wesołe, pełne życia uśmiechy i rozmowy spacerowiczów, obojętne na rozpacz bezgraniczną Andrzeja, co szedł koło nich przygnębiony, zadumany. Szedł, myśląc tylko, co czynić, by najdroższy swój skarb wydrzeć z rąk nieubłaganej śmierci.

Naraz zatrzymał się przed kościołem OO. Dominikanów. Przez okna biła wielka jasność świateł i płynęła cudna muzyka z organów. Odprawiały się tam nieszpory majowe na cześć Najświętszej Marji Panny. Pan Andrzej oprzytomniał z nieszczęścia. Spojrzał na blaski jasnych świateł kościelnych, pomyślał chwilkę i zawołał:

— Nie, to nieprawda, aby moja Rysia tak wcześnie miała umrzeć, gdyż jeszcze jest Bóg! Nieskończona Prawda! niezmierzona głębina Dobroci! Największy Lekarz wszechświata, bo Wskrzesiciel umarłych!... i silny w wierze wstąpił do kościoła. Przeszedł w pokorze poprzez modlących się ludzi i przed ołtarzem Najświętszej Matki runął na kolana, błagając:

— O Marjo Najświętsza... dobra... litościwa! powróć zdrowie mojej Rysieńce... uproś łaskę u Boga... Twojego Syna! Potem z książeczki odmawiał gorąco długą Litanję do Najświętszej Panny, która z ołtarza patrzyła słodko na lud z otwartemi ramionami i zdawała się szeptać:

— Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście utrapieni, uczeni i nieuczeni, panowie czy prostaczkowie, a Ja ukoję wasze łzy i żale, cierpienia i bóle...

Kiedy powrócił z kościoła do szpitala, był tak uradowany, że wprost nie dawał wiary swoim oczom. Ryśka w otoczeniu rodziców siedziała uśmiechnięta i mogła mówić. Pan Andrzej stał w drzwiach uradowany, wpatrzony w swoje szczęście, jak w tęczę promienną, a jakaś cudna muzyka, jakby niebiańska grała mu w duszy niewysłowioną błogość, hymn miłości. Podbiegł żywo i rozpromieniony ze szczęścia zawołał:

— Rysieńko moja! skarbie!...

— Andrzeju kochany!!... odpowiedziała mu i wyciągnęła do niego ramiona.

Uścisnęli się nawzajem z nieopisaną czułością. Na najdroższe swe dzieci patrzyli słodko rodzice, mając w oczach łzy radości.

— Andrzeju mój, uratowałeś mi życie, — szeptała w uściskach Marysia...

— Nie, to nie ja Rysiu, to Bóg! Wielki! Nieograniczony dał ci zdrowie, a uprosiła Go Najświętsza Matka w dniu swoich Imienin! Jeśli wyzdrowiejesz zupełnie, będziemy chodzić co wieczora przez cały maj na Jej nieszpory na dziękczynną modlitwę! Jesteśmy szczęśliwi, bo spełniły się nasze marzenia.

Potem wszyscy razem uklękli przed obrazem Najświętszej Matki i za cudowne przywrócenie zdrowia Rysi szeptali pobożnie dziękczynny paciorek do Boga, Bezdennej Miłości i Jego Matki, bo tylko w Nich jedyna nadzieja w życiu człowieka!!

Józef Pachołek.

Nasze życie.



Życie to nasze to z cierpień fal,
Niesie nas z szumem w nieznaną dal...
Pędzi przed sobą myśl strganą,
Co się rozpryska szczęścia pianą...
Życie nasze tęsknotą wieczną,
Z uczuciem złud w smutku serdeczną...

Życie to nasze tułaczy byt,
W których się słyszy płacz, smutek, zgrzyt...
Głuszący śmiechem, łzami srebrnemi
W tych się radość z bólami mieni...
i w dal płyniemy nieskończoną
Choć nam bóle targają łono...

Zefirek.

Matka przyszła...

Nowela.

Oto na próg jej wyszło chłopię może ośmioletnie, o jasnych lnianych włosach, o ciemnych błękitach ócz, szeroko w świat rozwartych. Smukły, jak młody smrek, promieniał chłopiec siłą i zdrowiem.

Stał tak w progu pleśnią pokrytej chaty — jasny i biały, w białych cyfrowanych portkach góralskich i białej koszuli, z włosem rozwianym jak złote promienie. Istny anioł-cherubin! Cudny kwiat życia — na ruinach śmierci...

Stał i błękitem ócz wielkich i mądrych przenikać się zdawał błękity nieba, co jak olbrzymi namiot rozpinało się ponad nim. Spoglądał gdzieś w dal nieuchytną, jakby w zachwyceniu, a na twarzy dziecięcej, szczupłej i białej, wykwitał żywy rumieniec, podobny do kwiatu róży, dopiero co z pąka rozwitej i jeszcze rosą poranku błyszczącej... Sam bowiem był ucieleśnionym porankiem...

Od czasu do czasu przysłaniał oczy białą drobną dłonią; to znowu przechylał się to naprzód, to w prawo i w lewo, próbując przebić wzrokiem gęstwinę puszczy. Nasłuchiwał tajemniczych głosów i poszeptów z dalekiego, nieznanego mu świata...

I zwidywało mu się nieraz, że po lesie chodzi jakiś duch promienny, jakaś dobra wróżka i szepce do nieg osłowa, pełne miłości i czaru i wzywa do siebie... Gotów był przysiąc, że ta kjest w istocie... Raz nawet poszedł w głąb knieji za tym głosem cudnym i wabiącym; szedł i szedł coraz dalej i głębiej i byłby zginął bez śladu, gdyby przypadkiem nie odnalazł go jakiś drwal leśny i omdlałego z głodu i wycieńczenia nie odniósł na swych ramionach do starej chaty.

Odtąd nigdy już nie dał się skusić tym syrenim głosom. Lubił ich słuchać, lecz nie poszedł za niemi. Doświadczenie nauczyło go być ostrożnym.

Tak i teraz. Choć w duszy mu coś grało, coś mówiło doń i śpiewało pieśnią cudów — ocknął się szybko, wrócił przed chatę i usiadł na pogródce*), zadumawszy się głęboko: sen to, czy rzeczywistość?

Kiedy tak siedział zadumany, bujający duchem po przestworzach świata — w drzwiach chałupy pojawiła się młoda jeszcze góralka i spoglądając życzliwie na chłopię, zapytała go łagodnie:

— Nad cem zaś tak dumas, Edek — ty dumacu?

— Tak se ozmyśluję — odparł chłopak, podniósłszy głowę i wskazując ręką w stronę lasu — cy za temi buckami i jołkami, za temi grapami, hań w dalekości, jest świat taki samy, jak tutok, cy inaksy... Cy wsędy sumi taka pusca i cy wsędy tak ciurkają ptoski, jak u nas?

— Dyć, dyć nie wsędy — kasby zaś! Som w świecie, nie psymiezający, jako i u nas na grapie, wielgachne lasy i pusce, ciurkają i pinkają ptoski, az giełcy — ale ci som i miasta okrutne, kościoły, coby w takiem jednem caluśką nasą dziedzinę, abo i wiency pomieścił... O raty! cuda cudnenkie! Naroda w tyk miastach moc, co niemiara! A jazgot w nik taki, az się głowie mąci! Ulice wyciągnięte piknie, jak pod śnurek, a na nik latajom masiny, jak smoki i hucą i fucą i piscą, abo dzwonią, zbyrkają i trąbią, to zaś ci rycą jak krowy; zakłbyś: same w nik ciorty jezdzą, a to jezdzą pany i panicki, piknie, bogato przyodziane. Abo na zielaznyk sinach jadom takie ci wielgie wozy, jak chałupy, piknie pomalowane, ośklone, ze haj, a w nik ludu, jak śledzi w becce... Kuni, to nikaj prawie nie uświadcys. Kasby ta! A co zaś idzie na piechty tędy i owędy — to ani nie zlicyć! Jak te mrowce, co wylezom z mrowiska. Haj! Domy to ci budaze budujom takie wielgachne, nikiej wieza u nasego kościoła... Zje, co tam wieża! Jesce wyżse od niej, o wyzse! Siedzom se w nik ludzie, jak te ptoski na smrekach, kajś pod samem niebem! A juści! Cięgiem zaś nowe budujom... Kuzdy budoz zaś buduje inacy, jak mu tam rozum prawi! Haj!

— To wyście tamok byli w tyk miastach?

— Byłak ci, synku, była, rok bez mała, na słuzbie u twojej mamusi; ale mi sie cneno tamoj, oj cneno! Byłabyk tamoj pomarła, zeby mię tatuś nie zabrali nazad. Nie wim! mozem ta i nie rozumiała temu, co lepse: cy takie okrutne miasta, co dzień i noc hucą jak młyny piekielne — cy te dziedziny naskie, nie barz wielgie, a ciche i te chałupecki niskie, a zato lasy i lasy, góry i góry jak zajeć... Mnie tutoj w chałupie na grani nie kucno i lzej...

— O raty! to takie tam są budarze? I cięgiem, powiadacie, budujom?

— Takie, pętacku, takie — i budujom cięgiem, cięgiem i chyba do kuńca świata nie przestanom.

— A jabyk nie uzdajał tak budazyć?

— Oj, nie uzdajałbyś, nie!

— To moja mamusia miskała w takiem wielgiem mieście?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Podmurowanie chaty.



Poradnik gospodarczy.

Krzaki owocowe.

Uprawa drzew owocowych, choć powoli, ale coraz bardziej u nas się rozszerza. Zamiast wierzb i brzóz coraz częściej możemy zobaczyć pry domach wiejskich jabłonie lub grusze, które są prawdziwą ozdobą wsi naszych. Nie możemy tego jednak powiedzieć o krzakach owocowych. Wprawdzie tu i ówdzie można napotkać czy to agrest, czy porzeczki, czy nawet maliny, ale rosną one w takim wypadku dziko i nie przynoszą niemal żadnego pożytku. A przecież rolnik i z krzewów owocowych może mieć znaczne korzyści, gdy im tylko nieco starania poświęci.

Hodowla agrestu i porzeczek jest w niektórych okolicach dość rozpowszechniona, ale o malinach, niestety, nie można tego powiedzieć. Rosną one przeważnie dziko po lasach i nie przynoszą takiego pożytku, jakiby przynieść mogły. A przecież maliny smaczniejsze od porzeczek i agrestu i wymagają od nich mniej starania. Sok malinowy domieszany do wody stanowi znakomity środek orzeźwiający, można go dodawać do wódki, używać do legumin i spożywać jako owoc deserowy. Krzew malinowy jest najmniej wymagającym pod względem miejsca i wymagającym najmniej starania przy hodowli.

Podczas kiedy krzewy agrestowe i porzeczkowe muszą być pielęgnowane, aby przynosiły należyty plon, to o krzew malinowy nie trzeba się wcale troszczyć. Odmładza on się ro roku sam i suche gałązki znikają też same. Kto chce, aby krzewy wyglądały ładnie, może suche pędy i gałązki zebrać w późnej je-

sieni, nie jest to wielka robota i należy do porządku w ogrodzie.

Rozkrzewianie malin nie kosztuje też ani pracy ani pieniędzy. Podczas kiedy rozmnażanie krzewów agrestowych i porzeczkowych odbywa się przez rozsadzanie latorośli włożonych w ziemię na dwa palce głębokości, rozkrzewiają się maliny o wiele prościej: oddziela się boczne pędy siekierą od krzewu głównego, a że pędy dużo mają korzonków, przeto można je zaraz sadzić. Zasadzone wcześnie na wiosnę rodzą tego jeszcze roku, podczas gdy nowo zasadzone krzewy agrestu lub porzeczek rodzą dopiero po upływie kilku lat.

Pomiędzy wielu gatunkami malin wymienić należy przedewszystkiem:

1. Maliny amerykańskie, krzyżowanie maliny i jeżyny. Owoc jest ciemno bronzowy, prawie czarny. Zbiór bywa bardzo obfity i owoce bardzo ładny mają zapach. Rodzą tylko raz do roku.

2. Maliny żółte, Mec, mające tę korzyść, że nie zapuszczają głęboko korzeni w ziemię, lecz rozrastanie się ich jest za to mniejsze. Owoc ich jest średniej wielkości.

3. Maliny Fastholf rodzą dwa razy w roku, rozrastają się bardzo dobrze, co bardzo jest korzystnem dla osiągnięcia licznych latorośli. Krzew wypuszcza pędy wysokości dwa do dwa i pół metra, których o ile możności się nie obcina. Maliny te są duże i mają bardzo ładny zapach.

Zbyt dużej ilości nawozu maliny nie znoszą, a właściwie, gdy ziemia jest zabardzo znawożona, to wówczas krzewy się rozrastają, ale nie wydają dużej ilości owocu. Cokolwiek gnojówki wystarcza zupełnie, z początkiem wiosny należy tylko starannie obkopać krzaki. Jest to tem łatwiejsze, im krzewy rosną rzadziej.

Sadząc maliny, trzeba jeden krzew sadzić od drugiego w oddaleniu kwadratowego metra. Najlepiej sadzić maliny wzdłuż płotu, lecz tylko w jednym rzędzie.

Chorób, jakie się trafiają często u krzewów porzeczkowych i agrestowych, nie zauważono na malinach zupełnie ani na krzewie, ani na owocu.

Ponieważ głównym pożytkiem z malin jest sok malinowy, przeto należy wiedzieć, w jaki sposób się go najłatwiej przyrządza. Otóż należy zaniechać gotowania soku, lecz należy go przyrządzać na „drodze zimnej", gdyż jest on również doskonały, a wymaga mniej zachodu. Przepis jest następujący:

Włożyć wieczorem litr świeżo zerwanych malin (taksamo postępuje się z porzeczkami lub jeżynami) w miskę, zalać litrem zimnej wody i dodać za kilka groszy kwasu winnego. Wszystko razem stać musi przez noc, a więc 12 godzin. Nazajutrz zlać wytworzony (nie wyciśnięty) sok na inną miskę. Owoc, chociaż sok z niego zupełnie uszedł, wydaje się teraz po odlaniu soku jeszcze świeższym niż był dnia poprzedniego i posypany grubo cukrem jest doskonałym kompotem, lecz musi być natychmiast zjedzony.

Odlany sok należy zmieszać z 1 i pół funtem miałkiego cukru i po upływie 20 minut można go już nalewać do butelek, których nie należy zatykać korkiem, tylko zawiązać płócienną szmatką i wstawić do piwnicy. Sok taki, jeżeli piwnica nie jest zbyt zimna, trzymać się może 6—8 lat i smakuje jak owoc świeżo zerwany. Najlepiej zlewać go w małe butelki, ponieważ latem, stojąc w ciepłym pokoju, łatwo fermentuje.

Sok malinowy, porzeczkowy lub jeżynowy, zmieszany z zimną wodą, jest doskonałym napojem.

KRONIKA.

Od Redakcji. Jak to już zapewne sami Czytelnicy zauważyli, do poprzedniego numeru „Roli wkradła się nieprzyjemna pomyłka, a mianowicie w powieści p. t. „Wydziedziczona" opuszczono 7 rozdziałów. Zamiast rozdziału 32 i dalsze umieszczone zostały rozdziały 39 i 40. Aby błąd naprawić w dzisiejszym numerze dajemy dalszy ciąg powieści łączący się bezpośrednio z rozdziałem 31, umieszczonym w numerze 19 „Roli". a rozdziały 39 i 40 powtórzymy jeszcze raz w swoim czasie.

Zamach na pociąg pod Kalwarją. Dnia 13 b.m. o godzinie 9 30 nieznani sprawcy podłożyli pod pociąg pospieszny zdążający z Zakopanego do Krakowa kawałek szyny około 120 cm. długości w gminie Zebrzydowicach, koło budki kolejowej Nr 21. Wskutek tego został lekko uszkodzony parowóz i jeden podkład, przyczem pociąg pospieszny oraz towarowy zdążający z Kalwarji do Krakowa został opóźniony przez 20 minut. Wypadku w ludziach nie było.

Napad rabunkowy pod Jaworowem. W nocy z 15 na 16 b. m. w Majdanie pod Jaworowem został dokonany napad rabunkowy na dom Mosesa Bauma, stojący przy drodze, która prowadzi do Wiszni. Do wnętrza domu wtargnęli oknem dwaj osobnicy, a sterroryzowawszy domowników rewolwerami, zażądali wydania pieniędzy. Gdy Baum stawiał opór, a nadto rzucił się na jednego z rabusiów, chcąc go przytrzymać, ten dwukrotnie strzelił z rewolweru. Jedna kula zraniła Bauma w brzuch, a druga w ramię. Po strzałach napastnicy zbiegli, nie zrabowawszy pieniędzy, ani też żadnego przedmiotu.

Bestjalska zbrodnia bandytów. Onegdaj dokonano w Łodzi krwawego napadu. Do mieszkania robotnika Jana Szewczyka wtargnęło około godziny 11 w nocy trzech uzbrojonych w noże bandytów, którzy zażądali wydania pieniędzy. Szewczyk, jego żona i matka odmówili temu żądaniu. Wówczas bandyci pochwycili Szewczykową, wsadzili jej głowę do balji z gorącą wodą i trzymali tak długo, aż wyzionęła ducha. Po bestjalskim tym czynie bandyci zbiegli. Szewczyk zaalarmował sąsiadów. Przy pomocy przybyłego patrolu policji udało się ująć dwóch bandytów, a mianowicie Mieczysława Brana i Ignacego Staszyńskiego, karanych kilkakrotnie za kradzież i rabunki.

Pożary lasów. W ubiegły poniedziałek popołudniu straż leśna w puszczy białowieskiej została zaalarmowana pożarem lasów, który powstał nagle w czterech miejscach. Zlokalizowanie ognia, który groził zniszczeniem dużej części lasu, nastąpiło dopiero po dłuższym czasie. Spłonęło 156 mórg młodego lasu. Policja, prowadząc dochodzenie i badając przyczyny pożaru, stwierdziła niezbicie, że miała tu miejsce zbrodnia podpalenia. — W tym samym czasie powstał pożar w lasach zabłudowskich, należących do p. Manteufla. Ogień dzięki sprzyjającym wiatrom zniszczył około 80 mórg lasu. I w tym wypadku było podłożenie ognia. O rozmiarach pożaru świadczy fakt, że trwał on zaledwie 3 godziny, a jednak zdołał zniszczyć tak znaczną przestrzeń.

Ładny kurator szkolny. Silne wrażenie w Wilnie wywołał wyrok sądowy w sprawie tamtejszego kuratora szkolnego p. Gąsiorowskiego. Mianowicie kurator Gąsiorowski wytoczył sprawę przeciwko p. Rachalskiemu, b. naczelnikowi wydziału ogólnego w kuratorjum wileńskiem, oskarżając go o zniesławienie w druku. P. Rachalski wyraził się o p. Gąsiorowskim, iż korzysta on z pieniędzy rządowych, obracając je na własny użytek,

oraz że pobiera bezprawnie djety i pensje za fikcyjnych pracowników. P. Rachalskiego sąd uniewinnił, gdyż zdołał on udowodnić prawdziwość swoich twierdzeń.

Głód na Wileńszczyźnie. Z Wilna donoszą, że ze wszystkich stron województwa zaczynają napływać coraz bardziej alarmujące wiadomości o klęsce głodu na Wileńszczyźnie. Urzędowe raporty głodującej ludności obliczają na 62 260 osób dorosłych i 77.030 dzieci. Klęska jest tak straszna, że przechodzi swemi rozmiarami głód, który panował na Wileńszczyźnie w pierwszych latach po wojnie. Przyczyną fatalny nieurodzaj i spóźniona wiosna, wskutek czego przednowek ogromnie się przedłuża. W jednej z miejscowości (Nowowilejki) okoliczna ludność od dwóch już tygodni żywi się łupinami z kartofli i trocinami domieszanemi do chleba.



W wielu też miejscowościach żywią konie i krowy strzechami z chałup. Wiele też chałup włościańskich stoi częściowo lub całkiem bez strzechy jak to przedstawia nasz obrazek.

Kara Boska na bezbożników. O ciekawym wypadku donoszą z miasteczka Lubowin na Ukrainie sowieckiej. Miejscowy sowiet zorganizował kółko „bezbożników“ polskich i kazał tej organizacji urządzić w klubie robotniczym wieczór antyreligijny. Podczas tego wieczoru bluźnierczą rolę Zbawiciela odgrywać miał prezes klubu Michał Juchniewicz. Przedstawienie jednak nie doszło do skutku, ponieważ przy ostatnich przygotowaniach zawalił się nagle nad sceną sufit, a kawałek cegły uderzył Juchniewicza w głowę tak mocno, iż stracił przytomność i musiano go przewieźć do szpitala. Wypadek ten podziałał deprymująco również na resztę członków kółka „bezbożników“, którzy uważając, że była to kara Boska za swe bluźnierstwo, gremjalnie wystąpili z kółka. Zastraszone tem władze sowieckie utrzymują, że wypadek Juchniewicza jest dziełem „kontrrewolucyjnych klechów“, choć na przedstawienie nikt nieprawomyślny nie był dopuszczony.

Wylew Wołgi. Z Moskwy donoszą: W górnym biegu Wołgi na północ od Moskwy rozpoczęła się katastrofalna powódź. Około 100 wsi zostało zalanych. Rząd sowiecki wydelegował specjalną komisję dla niesienia pomocy powodzianom.

Nic nie wiedziała. Ubiegłych dni zjawiła się niemodnie ubrana starowina w sklepie kupca Gutmana w Nagyszöllös na Węgrzech i zażądała dla siebie pary bucików. Gdy już wybrała obuwie na miarę nogi, wyjęła z węzełka banknot i położyła na ladzie, żądając reszty. Był to stary banknot austro-węgierski na 1000 koron. Kupiec sądził, że staruszka chce sobie z niego zadrwić. Ale ta była naprawdę oburzona, gdy jej wytłomaczył, że banknot ten żadnej nie ma wartości.

— Ależ panie! — zawołała. — Przyjrzyj się pan lepiej temu papierkowi. To prawdziwy banknot tysiąckoronowy. Okazało się, że staruszka od roku 1918 nie opuszczała swego osiedla w gminie Piszaszirma i nie miała pojęcia, co się w ostatnich jedenastu latach wydarzyło na świecie. I teraz jeszcze nie chciała w to uwierzyć, że dokonały się takie wielkie zmiany.

Potworne samobójstwo. Straszliwy sposób samobójstwa wymyślił sobie syn pewnego rolnika ze wsi Horne Hradisko obok Pilzna w Czechach. Postarał się on gdzieś o pięć ręcznych granatów, z których cztery przywiązał sobie wokół piersi i wprawił w czynność mechanizm zapalny granatów. Skutki wybuchu były okropne. Ciało samobójcy rozerwane zostało na drobne kawałki, które rozleciały się po całej zagrodzie. Głowę znaleziono 25 metrów od miejsca eksplozji. Lewej ręki nie można było wogóle znaleźć. Powodem samobójstwa młodego wieśniaka była padaczka, której ataki pojawiały się u niego coraz częściej. Ojciec samobójcy stracił w nim ostatniego swego syna. Pięciu innych padło mu bowiem na wojnie.

Wróg kotów. W Rzymie aresztowany został ostatnio jeden z podmiejskich mieszkańców, który oskarżony został o to, iż „zamordował“ 40.000 kotów... Oskarżony przyznał się, iż od kilku lat polował systematycznie na koty i codziennie „mordował“ około 5 do 6 sztuk. Z „zamordowanych“ ofiar ściągał oprawca skórki i sprzedawał je kuśnierzom, mięso zaś wędrowało do rzeźników, którzy następnie sprzedawali je jako „wyborną cielęcinę“. Na trop „myśliwego“ wpadła policja rzymska na skutek licznych doniesień mieszkańców, uskarżających się na tajemnicze znikanie ulubionych kotów.

Tragiczna śmierć włamywacza. Straszną śmierć znalazł w Marsylji jeden z włamywaczy w czasie ucieczki przed policją. W nocy dostali się czterej włamywacze do jednej z kamienic, zawierających sklep z bielizną. Hałas obudził właściciela sklepu, który zaczął ścigać złodzieji. Włamywaczom udało się zbiec Nazajutrz rano, otwierając swój sklep, właściciel zobaczył tych samych włamywaczy wychodzących z sąsiedniego domu. Zaalarmował więc policję, która puściła się za nimi w pogoń. Włamywacze zdołali wpaść do nowobudującej się pięciopiętrowej kamienicy. Trzech z nich policja schwytała w piwnicy, czwartego zaś znalazła martwego na stosie materjałów budowlanych w parterze gmachu. Okazało się, że ten czwarty, uciekając przed policją, wbiegł na schody. Schody nie były jednak wykończone i urwały się na czwartem piętrze. W szale ucieczki włamywacz nie zauważył tego i spadł z czwartego piętra schodów ponosząc śmierć na miejscu.

Tragedja stolarza. Z Rzymu nadchodzi wiadomość o osobliwym wypadku, który zdarzył się w południowo-włoskiej wiosce Roccamontina. W wiosce tej znajduje się klasztor, którego zarząd zamówił 26-letniego siostrzeńca Pietro Vianci do naprawienia starego drewnianego krzyża, na którym widniał przybity gwoździami Chrystus tekturowy. Stolarz włoski wykonał szybko swoją łatwą zresztą robotę. Gdy jednak przystąpił do naprawionego przez siebie krzyża, aby przybić na nim z powrotem figurę Chrystusa, nerwy odmówiły mu nagle posłuszeństwa. Jakieś szalone przerażenie owładnęło włoskim stolarzem, który wyobraził sobie, iż przybicie Chrystusa do krzyża będzie powtórzeniem zbrodni z Golgoty. Po długich dopiero perswazjach zakonników, Pietro Cianci odważył się na wzięcie do ręki młotka i wykonanie tak przykrego dla niego zadania. Następnej nocy zaczęły prześladować młodego stolarza jakieś straszne sny, gdy zaś rano powstał niebywale zmęczony, miał na rękach i nogach krwawe stygmaty. Wiadomość o tym „cudzie“ rozeszła się szybko po całej okolicy. Ze wszystkich stron zaczęły spieszyć tłumy ciekawych

do Roccamontina, aby na własne oczy zobaczyć osobliwe zjawisko. Włoskie gazety, opisując ów wypadek, donoszą, że został oń stwierdzony przez lekarzy i że jedyne możliwe wyjaśnienie może on znaleźć w tylekroć razy podanych wypadkach ustalonej przed lekarzy autosugestji.

Niezwykła podróż młodzieńca. Kolejarze na paryskim dworcu kolejowym mieli w tych dniach nielada niespodziankę. Właśnie przybył na ten dworzec luksusowy pociąg z Bukaresztu w Rumunji i jego eleganccy pasażerowie zaczęli spływać z przedziałów na peron, kiedy z pod jednego z wagonów wynurzyła się dziwna figura, Był to człowwiek obdarty, słaniający się ze zmęczenia, pragnienia i chłodu, z twarzą pokrytą dosłownie maską z mieszaniny potu, smarów i odbryzgów błota, tak, że robiła zaledwie wrażenie twarzy ludzkiej. Ujęto go i zaprowadzono do naczelnika stacji, a tu, po umyciu, wyłoniła się z pod maski twarz 18-letniego młodzieńca, a z jego zeznań pokazało się, że to jest Serb Stefan Patsu, który bawiąc w Bukareszcie, marzył o dostaniu się do Paryża, a nie miał na to pieniędzy. Kupił więc sobie dwa litry wina i bochenek chleba, wlazł pod pociąg i umieścił się tam jako tako i w tej niewygodnej pozycji przejechał 42 godziny, a więc bez mała dwie doby, nie mogąc się nawet zdrzemnąć. Rachuby go jednak zawiodły. Spodziewał się bowiem, że pociąg zatrzyma się gdzieś pod Paryżem i że na mniejszej stacji będzie mógł wymknąć się niepostrzeżenie ze swej kryjówki a potem dojść piechotą do Paryża. Tymczasem pociąg ten na pomniejszych stacjach się nie zatrzymuje i Patsu musiał dojechać do końca. Jednakże widocznie niezwykła wytrzymałość Serba i jego odwaga wzruszyły naczelnika stacji, bo nie kazał go aresztować przez policję, tylko odesłał go do jugosłowiańskiego konsulatu.

Cud u golarza. W jednym z zakładów golarskich w Bordeaux (czytaj Bordo) we Francji zdarzył się niedawno niepowszedni wypadek. Wśród gości znalazł się ślepiec, który przed laty przy pracy stracił wzrok. Gdy przyszła kolej na niego, golarz, pragnąc skropić mu włosy, przez nieostrożność wylał mu prawie całą zawartość wody na głowę. Przestraszyło to tak dalece niewidomego, że krzyknął, zerwał się z krzesła i nagle — odzyskał wzrok. Oniemiały ze zdumienia fryzjer dowiedział się niebawem, że przez przypadek uleczony gość leczył się u najsławniejszych okulistów.

Oryginalny testament. W miasteczku Metten w Górnej Bawarji umarł w tych dniach pewien gospodarz, pozostawiwszy bardzo oryginalne rozporządzenie ostatniej swej woli. „Trumna moja — czytamy w tym dokumencie — ma być wyścielona suknem, ażeby mi w grobie było miękko leżeć, czego za życia nigdy nie zaznałem“. Dalej rozporządza testament, że każdy uczestnik pogrzebu ma na koszt masy spadkowej dostać za darmo duży kufel piwa, kawał kiełbasy i porcję chleba. Toteż udział ludności w pogrzebie był nader liczny. Wszystkie te postanowienia wykonali spadkobiercy, z całą ścisłością.

Bułgarska vendetta. Pisma berlińskie donoszą z Sofji o strasznej zbrodni, popełnionej na tle vendetty w cerkwi prawosławnej w Samoranewie w Bułgarji. Przed kilku miesiącami zasztyletował w toku sprzeczki syn tamtejszego popa pewnego wieśniaka. Ludność domagała się stanowczo usunięcia popa. Onegdaj przybył z Sofji metropolita Stefan celem odprawienia nabożeństwa uspokojenia wzburzonej publiczności i wprowadzenia nowego księdza. Po skończonem nabożeństwie podszedł w towarzystwie swej matki syn zamordowanego wieśniaka do ustępującego popa i pchnął go nożem w samo serce. Pop skonał u stóp metropolity. Po dokonaniu zemsty syn i matka uciekli do pobliskiego lasu, gdzie zostali schwytani przez oddział żandarmerji. Dla nierozumiejących słowa „vendetta“ dodajemy, że znaczy to niejako odwet. A więc w myśl vendetty jeżeli ktoś kogoś zamorduje, to którykolwiek z członków rodziny zamordowanego ma obowiązek zabić mordercę lub kogoś z jego rodziny. I tak w kółko. Najbardziej rozpowszechnioną była „vendetta“ na Korsyce, teraz jednak już mniej o niej słychać.

Wybuch gazów trujących w szpitalu. Dnia 15 b. m. popołudniu w jednej z klinik w Cleveland w Ameryce nastąpiła straszna eksplozja, której rozmiary mają niewiele równyah sobie przykładów. Mianowicie w laboratorjum kliniki pękł z nieznanych powodów zbiornik z gazami trującymi, powodując pożar, który w mgnieniu oka objął cały gmach. Wśród licznych pacjentów i personalu szpitalnego wybuchła straszna panika. Dziesiątki osób ginęły w ogniu i od działania trujących gazów. Gazy te rozprzestrzeniły się w krótkim czasie niemal na całe miasto. Przechodnie na ulicach padali na bruk jakby rażeni piorunem. W chwili wybuchu gazów lekarze przeprowadzali operacje na chorych. Wszyscy operowani ponieśli śmierć. Według urzędowych doniesień śmierć poniosło 95 osób.

Nowa arka Noego. Parowiec amerykański, który opuścił port Belawn na Sumatrze i płynie do Nowego Jorku, jest prawdziwą arką Noego. Parowiec wiezie na na swoim pokładzie całą kolekcją dzikich zwierząt z krajów egzotycznych. Zwierzęta te przeznaczone są dla ogrodów zoologicznych Nowego Jorku i Chicago. Wśród zwierząt są: 4 tygrysy, 5 słoni, 10 niedźwiedzi, 2 orangutany, 100 małp różnych gatunków, pantera, która spowodowała śmierć jednego z krajowców w chwili chwytania jej, 800 różnych gatunków ptaków. Prócz tego są inne zwierzęta służące do karmienia tych dzikich zwierząt. Przedsięwzięto specjalne środki ostrożności dla ochrony tych zwierząt, które są bardzo drogie.

Miljoner-wagabunda. Miljoner amerykański Edwin Brown, którego przygody nieraz już zajmowały opinję publiczną, ogłosił obecnie z racji aresztowania go poraz sto pięćdziesiąty „Wspomnienia z życia obieżyświata-miljonera“. Przed trzema laty wywołał Edwin Brown niemałą sensację, zakładając w San Diego dom dla ubogich, powodowany wysoce oryginalną pobudką. Brown przybył mianowicie do wymienionej miejscowości ubrany w łachmny; kiedy go aresztowano, stawił władzy opór, za co skazano go na areszt w samotnej celi. Takie pozbawienie wolności było Brownowi bardzo nieprzyjemnem, dlatego też wystosował do dyrektora więzienia list, w którym zakomunikował, że jest właścicielem 60 fabryk, wielu posiadłości i kopalń, a samego podatku zapłacił 30 miljonów dolarów. Po tym liście stawiono niezwykłego więźnia przed oblicze dyrektora, który wnet przekonał się o prawdziwości zeznań miljonera. Dla upamiętnienia tej przygody, będącej jubileuszowym, setnym zatargiem Browna z policją, ufundował miljoner-wagabunda przytułek dla ubogich. Do koczowniczego życia skłania Browna jakiś przymus wewnętrzny. Wędrówki jego wiodą w poprzek Ameryki od Atlantyku do Oceanu Spokojnego. Brown zarabia wtedy na chleb jakiemiś dorywczemi pracami, albo poprostu żebrze. Brown był ogółem aresztowany 150 razy; najprzykrzejszem było osadzenie go w więzieniu Sing-Sing pod zarzutem popełnienia morderstwa. Tylko wyjawienie prawdziwego nazwiska i wyznaczenie nagrody 10 tysięcy dolarów za ujęcie rzeczywistego mordercy ocaliło wtedy Browna od fotela elektrycznego.

RZECZY CIEKAWE.

Wynalazca znaczka pocztowego.

Ogólnie się mówi, że zasługę wynalezienia tak wygodnego sposobu opłacania porta pocztowego, jakim jest nalepianie obecnie znaczka drukowanego, przypisać należy dyrektorowi poczt angielskich Rowlandowi Hillowi, ale w rzeczywistości dowiedzionem jest dzisiaj, że pomysł ten zrodził się w głowie drukarza i wydawcy Jamesa Chalmersa. Jako doświadczony wydawca interesował się bardzo zarządzeniem poczty angielskiej, wymagającej stemplowania uprzedniego każdej koperty, którejby się miało użyć. Kazał więc w roku 1834 w swej drukarni wygotować cztery próby znaczków i zaraz nagumować i pokazał je swym przyjaciołom handlowym, którym się pomysł jego wielce spodobał, ale dopiero w roku 1837 przedłożył znaczki swego pomysłu angielskiemu skarbowi państwowemu, który znowu dopiero w dwa lata później postarał się o zatwierdzenie projektu i wprowadzenie w życie pierwszych znaczków pocztowych. Tak więc w roku obecnym upływa 75 lat od wynalezienia jednego z najpraktyczniejszych pomysłów, którego użyteczności najlepszym dowodem jest to, że dziś niema kraju, któryby nie posiadał własnych znaczków pocztowych, których miljardy zużywa się corocznie.

Cenne wyznanie lekarza.

Pewien lekarz angielski, pracujący na oddziale fizjologicznym szpitala w Middles od lat 15 usiłuje się przeziębić, lecz, jak dotąd bezskutecznie.

Zabiera on w tej sprawie głos w fachowem czasopiśmie lekarskiem „Lancet", gdzie pisze:

Fakt, że nie mogę przeziębić się, chociaż nieraz miewałem do czynienia z najbardziej przeziębionemi ludźmi i narażałem się na wszelką niepogodę, naprowadził mnie na myśl zbadania, dlaczego to ludzie zdrowi i silni zaziębiają się tak łatwo. Pochodzi to — zdaniem mojem — stąd, że ubierają się oni o wiele za ciepło i noszą zupełnie niepotrzebnie ciepłą bieliznę.

Już zwyczaj ubierania dzieci w rzeczy wełniane i strzeżenia ich przed każdym podmuchem daje podstawę do tego, by stały się one bardzo wrażliwe na każdą chorobę z przeziębienia. Nagła zmiana temperatury wystarczy, by takiego człowieka, którego gospodarka cieplna z powodu zamknięcia ciała przed wpływami zzewnątrz źle prowadzona, narazić na katar czy kaszel.

Gdy natomiast całe ciało wystawiane jest na działanie światła i powietrza latem i zimą, gdy zdrowy człowiek nie nosi żadnej ciepłej bielizny — wtedy dopiero cały jego organizm wzmacnia się i pobudzony jest do wykonywania wszelkich czynności.

Takie właśnie spartańskie zahartowanie przeprowadzam na sobie ściśle od lat 15 i utrzymuję, że temu środkowi zawdzięczam swoją niewrażliwość na przeziębienie. W ciągu całego roku nie używam ciepłej bielizny i nie odczuwam jej potrzeby przy żadnej pogodzie.

Punkt środkowy wszechświata.

Niczem zaprawdę są wszelkie nasze rekordy od odległości dosłownie astronomicznych. Nie bardzo też da się usprawiedliwić nadawanie nam, mieszkańcom ziemi, miana władców wszechświata. Nie jest nawet przez nas zamieszkiwana planeta punktem centralnym wszechświata. Jest nim natomiast, zdaniem wybitnego astronoma amerykańskiego, profesora uniwersytetu w Harward, Harlow'a Shaplev'a, konstelacja Łucznika, od której nasza ziemia oddalona jest zaledwie o 47.000 lat słonecznych. Ile to jest kilometrów — nie podobna jednym tchem wymówić, jeśli się zważy, że rok słoneczny jest to odległość, jaką przebywa światło w ciągu 365 dni, a światło w ciągu jednej tylko minuty przebywa około 300.000 km. Kto chce uświadomić sobie znikomość naszych ziemskich wymiarów, powinien przemnożyć te liczby, by ustalić ile kilometrów dzieli ziemię od punktu centralnego wszechświata.

Największy producent jaj.

Krajem, który produkuje najwięcej jaj są Chiny. Hodowla drobiu jest tam najbardziej rozpowszechnioną gałęzią przedsiębiorstw rolniczych. Prawie każda rodzina w tym kraju o 400 miljonach ludności, posiada kilka kur, kaczek, gołębi lub gęsi. Obliczają, że w Chinach znajduje się około 350 miljonów niosących jaja kur, a licząc przeciętnie po 75 jaj na kurę dochodzimy do rocznej produkcji 26 miljardów i 250 miljonów. Gdyby jaja te ułożono rzędem obok siebie, powstałby sznur, którymby 13 razy ziemię opasać można. Eksport jaj i suszone białka i żółtka w latach 1915—1921 wynosił sumę 12,000.000 dolarów amerykańskich. Jaja świeże idą przeważnie do Hong-Kong i Japonji, suszone produkty do Anglji, Hiszpanji i Stanów Zjednoczonych. W Polsce są fabryki przetworów odżywczych, sprowadzające suszone żółtko z Chin.

Analfabetyzm w miastach.

Według statystyki opracowanej przez międzynarodowe biuro statystyczne w Hadze, najmniejszą ilość analfabetów wykazuje wśród miast europejskich Praga Czeska a więc 0.67°/₀, Wiedeń posiada 2.04°/₀ analfabetów, Paryż 3.36°/₀, Budapeszt 4.76 °/₀, Rzym 10.90°/₀, Petersburg 13.81°/₀, Warszawa 16.96°/₀, Moskwa 22.42°/₀, Bukareszt 25.57°/₀, Łódź 31.91°/₀, Kijów 44.62°/₀.

Słynny posąg Chrystusa w Andach.

W Ameryce południowej znajduje się pomnik Chrystusa, otaczany niezwykłą czcią ludności Ameryki łacińskiej. Ma on bardzo interesującą historję.

Jak wiadomo, w XIX wieku pomiędzy narodami Ameryki Południowej toczyły się nieustanne wojny. W roku 1898 między Argentyną i Chile powstał konflikt z okazji regulowania linji granicznej. Oba państwa poczęły się szybko zbroić, sprowadzając materjał wojeny z Europy. Krwawe starcie wydawało się nieuniknionem, gdy w tem w marcu 1900 r. biskup argentyński, Mgr. Benavente, z powodu Wielkiego Tygodnia, który w obu krajach obchodzony jest z wielką uroczystością, wydał orędzie, wzywające do pokoju „w imię Chrystusa". Po drugiej stronie granicy na apel ten odpowiedział biskup chilijski. Następnie obaj biskupi, zjednoczeni w wierze, objeżdżali swoje kraje, nawołując wszędzie do zgody. Wysiłki arcypasterzy nie poszły na marne. Opinja publiczna w obu krajach zwróciła się przeciw wojnie. Rządy obu państw otrzymały niezliczoną liczbę podań antywojennych, w których wypowiedzieli się wszyscy, począwszy od najwyżej postawionych osobistości, a skończywszy na najprostszych obywatelach. Po wpływem takiej atmosfery moralnej, która miała w sobie coś nadnaturalnego, plany wojenne załamały się i ustąpiły miejsca pokojowi, zawartemu na podstawie szlachetnego podziału spornego terytorjum.

W roku 1902 nastąpiło podpisanie układu rozjemczego; równocześnie przeprowadzono rozbrojenie, któ-

re zostało ułatwione, dzięki zawarciu podobnych układów z innemi państwami sąsiedniemi.

Tak pomyślne rozwiązanie sporu zrodziło myśl wzniesienia trwałego pomnika, któryby w widoczny sposób mógł przemawiać do serc najdalszych pokoleń. Ponieważ pokój utrzymany został w imię Chrystusa, więc zdecydowano, że na granicy chilijsko-argentyńskiej, wśród niebosiężnych szczytów i wiecznych śniegów Kordyljerów, stanie olbrzymi posąg Boga-Człowieka, jako stałe upomnienie dla ludów, by żyły w zgodzie, w pokoju i miłości wzajemnej.

W arsenale w Buenos Aires piętrzyły się stosy mitraliez, armat, i wszelkiego rodzaju broni, która już teraz była niepotrzebna. Z tego materjału wojennego odlano gigantyczną statuę Zbawcy. Przewieziono ją koleją w okolice górskie, a potem tysiące żołnierzy i marynarzy obu krajów wciągnęły ją na lawetach armatnich na jeden ze szczytów górskich. Dnia 13 marca 1904 roku nastąpiło uroczyste odsłonięcie posągu.

By z okazji owej uroczystości lepiej jeszcze dać wyraz temu duchowi, który ożywiał wszystkich, wojska argentyńskie rozkwaterowały się na terytorjum Chile, a oddziały chilijskie rozbiły namioty na ziemiach Argentyny.

Posąg Chrystusa Andów, którego prawa ręka wznosi się, błogosławiąc, ku Północy, a lewa trzyma krzyż, znajduje się na wysokości 13.000 stóp nad poziomem morza. Na cokole wyryto następujący napis: „Pierwej runą te góry i wszystko rozsypie się w proch, niż narody Chile i Argentyny zapomną o uroczystej przysiędze, złożonej u stóp Chrystusa. On, który nas tu pojednał, jest naszym Pokojem".

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Stanisław Morawiec** w S.: Wszelkie przepowiadanie pogody na czas dłuższy jest zupełnie bez wartości. Pogoda, deszcz, zimno, czy ciepło, zależy to wszystko od tego, z której strony wiatr wieje i jakie jest ciśnienie powietrza. A któż zdoła przewidzieć, czy tego a tego dnia taki a taki wiatr wiał będzie? Wprawdzie meteorologowie usiłują przepowiadać pogodę, ale udaje się im to, i to nie zawsze, tylko na dzień najbliższy. Zresztą w jednym i tym samym dniu może być np. piękna pogoda koło Lwowa, a deszcz koło Krakowa i odwrotnie. Cóż więc znaczą wszelkie przepowiednie? Szkoda na nie miejsca. — **Walenty Pasierb** w Cz.: „Litanja Loretańska Ludu Polskiego" bardzo ładna, ale dla „Roli" zadługa. Mogłoby ją wydrukować jedynie pismo ściśle religijne, lub wydać swym nakładem OO. Dominikanie. — **Wawrzyniec Miesiączek** w U.: „Zemsta Jurasika" może być drukowana, ale w „Majowy wieczór", jak to zresztą sam Pan zauważył, nie, gdyż są to, jak sądzimy, jedynie osobiste przeżycia. A takich w życiu jest miljony. — **Antoni St. Szymański** w H.: Obydwie rzeczy, to są notatki raczej kronikarskie, a takie trzeba pisać jak najzwięźlej, aby dużo miejsca nie zabierać. Lourdes jest to miasteczko w południowej Francji w djecezji Tarbes. Musiałby Panu ktoś napisać, jeżeli już nie po francusku, to przynajmniej po łacinie, np. któryś z księży. Zdaje nam się, że świeckiemu człowiekowi nie przysłaliby. — **Feliks Szast** w D.: Sprawa ubezpieczeń zagranicznych dotychczas jeszcze nierozstrzygnięta. Podobno toczą się tam gdzieś jakieś pertraktacje, ale czy doprowadzą do celu, nie wiadomo. Pisaliśmy o tem już w odpowiedziach Redakcji, ale widocznie Pan przeoczył. — **Władysław Krzysztoń:** Niech Pan napisze do Towarzystwa hodowli drobiu w Jarosławiu, a przyszlą Panu cennik i bliższe informacje. — **Wacław Głębina** w T.: Cieszy nas bardzo, że „Rola" ma takie powodzenie w T. Za słowa uznania serdecznie dziękujemy. List odbył długą drogę, gdyż był zamało opłacony, a jeno przypadkowo dostał się do naszych rąk. — **Władysław Hutniczak** w L.: Ceny nie wiemy — niech się Pan zapyta w księgarni, adres wystarczający.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożyła Studentka z Tarnowa).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Spinka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Owoc.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Obojętność.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kościół mahometański.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Pieniądz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Szyderstwo.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Zbiór ustaw.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Poemat Homera.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Ustęp w poemacie
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Upiór.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Złudzenie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Łódka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kłótnia.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko poety polskiego.

2. Szarady.

(Ułożył „Ben Chorin").

I.

Pierwsze oraz pół drugiego
To jest coś lotnego,
Nie żadna niemiecka,
Lecz litera grecka
Jest drugie i trzecie;
Lecz gdy jeszcze nie wiecie,
To całość, mówię wam,
Prawie codzień w ręku mam.

II.

Pierwsze i drugiego pół
To gorąca jest rzecz,
Drugie to jest tylko dół,
Trzecie zaś litera.
Całość to nie żadna ciecz,
Lecz próżnię zawiera.

III.

Pierwsze z drugiem gdy masz,
Wcale młodym się zdasz
Drugie zaś i trzecie
Źle jest mieć na grzbiecie,
Pół drugiem małe dziecię
Na odchodnem żegna cię.
Trzecie to znów jest litera,
Całość fosfor i siarkę zawiera.

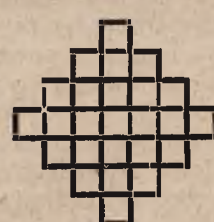
3. Układanki geograficzne.

(Ułożył Adam Galer z K.).

Drzewo + więzienie = miasto.
Przystań na morzu + samogłoska + Francja po łacinie = miasto w Europie.
Zabawy + miara powierzchni + samogłoska = wyspy.
Rzeka - wie inaczej + spółgłoska = miasto w Polsce.
Ukrop + zaimek = rzeka w Polsce.

5. Zagadka.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).



1) Spółgłoska. 2) Opaska. 3) Smar. 4) Znane nazwiska z „Roli". 5) Pasą pasterze. 6) Papuga. 7) Samogłoska.

Wyrazy pionowe mają tosamo znaczenie, co i poziome.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 1 czerwca b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 19 „Roli": 1. Aleksander Wielki. 2. Szarady: I. Akrobata. II. Apteka. 3. Zagadka: M-kos-katar-motylek-salon-Ren-k. 4. Przestawianki: I. Poznać pana po cholewach. II. Przyjdzie kryska na Matyska. III. Fortuna kołem się toczy. IV. Nauka nie idzie w las. Dobrego rozwiązania w oznaczonym czasie nikt nie nadesłał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Przesada.

— Widziałem w teatrzyku człowieka bez rąk, który grał na pianinie.

— Też sztuka: moja żona śpiewa, choć nie ma głosu!

To, co decyduje.

— Trudno, moja droga, musimy się rozejść. Zrywam nasze zarzczyny. Zwróć mi ten pierścień z brylantem, którym ci podarował.

— Pierścień? Kiedy widzisz, palec mi przytył i nie mogę go zdjąć.

— W takim razie... niema rady — musimy się pobrać.

Niemożliwe.

Ona: — Szkoda, że my kobiety nie mamy zarostu.

On: — Toby było dla was wielką męczarnią, bo przy goleniu musiałybyście milczeć.

Niespełnione marzenie.

Życzyłem sobie zawsze żony z trzema przymiotami: aby w towarzystwie była wielką damą, w kuchni kucharką, a gdy jesteśmy sami miłą zalotnicą. I ta, którą znalazłem, posiada te zalety, tylko w innym kierunku: w towarzystwie jest zalotnicą, w kuchni — wielką damą, a w czułem sam na sam — kucharką.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 17 maja b. r.

Pszenica .	46·00—46·50	Słoma długa	8·00—9·00
Żyto .	27·00—27·50	Ziemniaki stoł.	6·00—7·50
Owies . .	31·00—32·00	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	27·50—28·00		
Fasola biała	150·00—155·00	Mąka żytnia	46·50—47·50
Groch zwyk.	52·00—55·00	Mąka pszen.	76·50—77·00
Siano słodk.	20·00—22·00	Otręby pszen.	26·50—27·00
Łubin żółty	38·00—39·00	Otręby żytnie	24·50—25·00

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 17 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·36 do 1·95 zł.	Jałownik	od 1·30 do 1·88 zł.
Woły . .	od 1·40 do 2·10 zł.	Cielęta .	od 1·23 do 2·37 zł.
Krowy .	od 0·83 do 1·92 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·30 do 2·75 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·05 do 3.80

BLEDNICĘ

BRAK KRWI USUWA
Mra KRZYSZTOFORSKIEGO
WINO CHINOWO-ŻELAZISTE
na maladze hiszpańskiej
reguluje słabości kobiece, dodaje siły, podnieca apetyt, **przyczynia krwi, położnicom zadziwiająco szybko przywraca siły,** a specjalnie polecane przez lekarzy w chorobach płucnych, po przebytych ciężkich chorobach, przy osłabieniu ogólnem, oberwaniu, braku ochoty do życia, nudnościach, zawrotach głowy, wyczerpaniu fizycznem i umysłowem. Do nabycia w aptekach i drogerjach, do miejscowości gdzie niema na składzie można zamawiać wprost z fabryki we własnym interesie, by ustrzec się przed podróbkami, — **żądać wyraźnie**

Mra KRZYSZTOFORSKIEGO
WINO CHINOWO-ŻELAZISTE
Naśladownictwo energicznie odrzucić!
Flaszka mniejsza z przesyłką zł. 3.50, 5 flaszek 13 zł.
Flaszka podwójna z przesyłką zł. 5.—, 5 flaszek 22 zł.

Fabryka chemiczna Mr Krzysztoforski, Tarnów 8.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza
Stanisława Wałkowińskiego
w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Sprzedaż częściowa i hurtowna.
Cenniki na żądanie.
Uwaga na dokładny adres.

Nie marnować owocu!
Wspaniałe

Wina domowe

sporządzamy z każdego owocu i jagody (nawet zboża), n.p. **Tokaj, Malagę, reńskie stołowe i t. p.**
Dokładny podręcznik przesyłam za 80 gr. w znaczkach pocztowych.
Cenniczek i krótki opis wyrobu win zadarmo
M. Pradel, Kraków, św. Tomasza 22.
(tamże rurki ferm., prasy, gąsiory i t. d.).

BALSAM KAPUCYŃSKI

z Orłem wyrobu Mra Krzysztoforskiego
podług przepisu O. Norberta z Pragi.

Najskuteczniejszy w bólach i kurczach żołądka, usuwa złe trawienie, pobudza apetyt, niezawodny w nudnościach, słabościach, wymiotach i omdleniach, nieoceniony środek w czasie podróży i pielgrzymek oraz w słabościach kobiecych.

Leczy zastarzałe rany, owrzodzenia, usuwa ból zębów, gardła, dziąseł, chroni zęby od zepsucia.

Jako niezbędny środek domowy winien być w każdym domu — w nagłych wypadkach oddaje nieocenioną przysługę. — Żądać wyraźnie Balsamu Kapucyńskiego z Orłem wyrobu Mra Krzysztoforskiego naśladownictwa energicznie odrzucać.

Każda prawdziwa butelka jest zaopatrzona plombą metalową z Orłem.

Cena za 5 fl. z przesyłką zł. 10. — 10 flaszek zł. 19.

Fabryka chemiczna Mr Krzysztoforski, Tarnow 8.

KOŃSKI ZĄB

oraz wszelkie nasiona poleca
do odwrotnej dostawy:
EMIL FREEGE, KRAKÓW.

90.000 ludzi

jest w Polsce psychicznie chorych a setki tysięcy nerwowych, zdrowie całego społeczeństwa łatwo już w podstawach swych może być zagrożone, przeto każdy inteligentny i dbały o swą rodzinę ojciec, każdy wychowawca, a przedewszystkiem każdy kapłan, każdy wreszcie działacz społeczny, każdy zdrowy i chory powinien poznać się z cyklem książek **prof. Emila Wyrobka** p. t.

Z OTCHŁANI CHORÓB NĘDZY I UPADKU

ponieważ książki te poruszają najżywotniejsze zagadnienia tyczące się zdrowia społeczeństwa i jednostki, ponieważ w nich zawarte są najlepsze rady i wskazówki z zakresu higjeny seksualnej i lecznictwa.

1) **Alkoholizm i prostytucja,** obłęd opilczy upojenie patologiczne, dipsomanja, alkoholizm wrodzony, neurastenja i samobójstwo. Morfinizm i kokainizm. Kult rozpusty. Reglementacja i abolicjonizm. Str. 225 ilustrowane. Cena 4 zł.

2) **Choroby nerwowe i umysłowe.** Paraliż postępowy, wiąd rdzenia, melancholja, psychozy manjakalno-depresyjne, spaczenie umysłu z urojeniami, rozpad myśli, idjotyzm i głupota moralna. Onanizm. Neurastenja. Histerja i epilepsja. Str. 162 ilustrowane. Cena 4 zł. jednocześnie poleca się najnowsze wydanie

Szczęsny Miłociński

1) **Lilje, Osty, Stokrótki i Niezabudki,** Wiązanka symbolicznych wierszy, pięknych śpiewek, mądrych przysłów i aforyzmów, nadających się do wpisywania w pamiętniku lub wygłaszania przy rozmaitych zabawach i okolicznościach (str. 96) cena 80 gr.

2) **Zbiór Toastów** z Okazji Chrzcin i Wesela oraz różnych mów, nadających się do wygłaszania podczas wielkich uroczystości obchodów i zabaw rodzinnych, społecznych, patrjotycznych, ze znacznym uwzględnieniem tła ludowego i historycznego. (Str. 224.) Cena 2 zł.

3) **Wzornik** do pisania **listów miłosnych,** odnoszących się do różnych okoliczności, poruszający bardzo ważne temata i zagadnienia aktualne. Str. 128. Cena 1.20 zł.

Powyższe książki do nabycia razem lub oddzielnie w księgarni

„WIEDZA i SZTUKA"
Kraków, ul. Gołębia 10/R.
tudzież w innych księgarniach. Posyłka za pobraniem poczt. na koszt zamawiającego.